



Delegaci województwa nowosądeckiego podczas IX Zjazdu

Danuta Binek

Korespondencja własna z Warszawy

DZIEWIĄTY, NADZWYCZAJNY

Dla nas, dziennikarzy akredytowanych przy IX Zjeździe PZPR, pierwszy dzień obrad rozpoczął się kilka minut po dwunastej, gdy w Sali Marmurowej Pałacu Kultury i Nauki mogliśmy na monitorach śledzić jego uroczyste otwarcie. Oczywiście, jak często bywa przy tego typu okazjach, technika zawiodła na całej linii: obraz zaczął skakać, zmieniać barwę z zielonej poprzez fioletową na czerwoną, zamiast głosu dobiegły szumy i piski, a na dodatek panowie z obsługi technicznej gdzieś się ulotnili. W chwili, gdy udzieli się w miarę poprawić odbiór, sekretarz KC PZPR, Stanisław Kania poprosił o przerwę. Korzystając z chwili wolnego czasu, odbyliśmy konferencję prasową, na której rzecznik prasowy Zjazdu poinformował nas o przebiegu wcześniejszej, roboczo-organizacyjnej części. Następnie poprosił o pytania i wówczas się zaczęło:

— Dlaczego tylko nieliczni dziennikarze mają dostęp do Biura Prasowego Zjazdu? Czy my jesteśmy drugiego sortu?

— Co z kontaktem z delegatami? Dlaczego nie wpuszczacie nas w kuluary Sali Kongresowej?

— To śmieszne, żeby doprowadzać do nas delegatów. A może wprowadzicie na nich bony?

— Czy wszyscy dostaną Biuletyn Zjazdowy?

— Wiesława Beka wytrwał w opresji głos Stanisława Kania, który rozpoczął drugą część referatu KC. Kiedy skończył, udało mi się — korzystając z tego, że nie włączono mikrofonu — usłyszeć opinię Henryka Jabłońskiego o referacie: — *Nawet dobrze ci to Staszku wyszło po tych wczorajszych porrajkach.*

Około 18 rozpoczęła się część plenarna, a w niej dyskusja nad referatem KC. Zanim jednak pierwszy z mówców zabrał głos, przewodniczący obrad

musiał kilkakrotnie upominać niektórych delegatów, którzy obłąkali Stanisława Kanię i Wojciecha Jaruzelskiego, prosili o autografy. Zresztą taki obrazek towarzyszył wszystkim przerwom przez cały okres trwania Zjazdu. Nic nie pomagali uwagi kolejnych przewodniczących obrad w rodzaju: — *Towarzysze, może zrobicie to po fajrancie.* W kuluarach zaś olbrzymią popularnością cieszył się Mieczysław Rakowski, tożsennie ołoczony spórą rzeszą delegatów i dziennikarzy. Tak, dziennikarzy, bowiem w wyniku naszego oficjalnego protestu zostaliśmy dopuszczeni do kuluarów Sali Kongresowej.

W tym dniu zabrało głos kilkunastu delegatów. Największą aprobatę sali zdobyli sobie: Mirosław Major z Katowic, któremu często przerywano wypowiedź rzeszistymi oklaskami. Przypomnę tylko, że mówił o przyczynach kryzysu gospodarczego i problemach górnictwa. Bezpośrednio po nim przemawiała Henryka Kubiak ze Zgierza. Zaczęła od pytania: — *Czy dopiero XII Plenum KC musiało rozstrzygnąć nasz podstawowy problem: ukarania winnych doprowadzenia Polski na skraj przepaści? Przecież nie domagaliśmy się słów, chcieliśmy tylko zwykłej sprawiedliwości, jednakowej dla wszystkich.* Następnie wspominała o szczególnie trudnej pracy kobiet w przemyśle włókienniczym, jakby przez ironię nazwanym „lekim”. Pod koniec wypowiedzi Henryka Kubiak zaapelowała do delegatów, żeby nie traciли czasu na zbędne dysputy ponieważ nie wybuczą im tego dzieci, które „dzis, zapominając smaku stodyczy, a jutro w ogóle mogą być głodne”.

Z pierwszego dnia warto jeszcze odnotować dwa głosy: Józefa Kalety z Wrocławia i Kazimierza Miniura z Krakowa. Pierwszy poświęcił swoje prze-

mówienie kryzysowi gospodarczemu stwierdzając, że główną przyczyną jego pogłębiania się jest odkładanie w nieskończoność reformy gospodarczej. Winię za taki stan rzeczy ponoszą — zdaniem Józefa Kalety — konkretni ludzie — przeciwnicy wszelkich reform. Byli oni w rządzie premiera Pińkowskiego, a co gorsza, są również w rządzie Jaruzelskiego. W momencie, gdy wypowiadał tę kwestię, na ekranach pokazała się ironicznie uśmiechnięta twarz Józefa Pińkowskiego. Siedzący obok mnie dziennikarz powiedział z uznaniem: — *Ale te telewizory są złośliwe!* Zresztą nie rozmiął się zbytnio z prawdą, koledzy z telewizji często wychwytywali takie obrazki: a to malująca się delegatka, a to delegat ostentacyjnie czytający „Gazetę Krakowską”, gdy z mównicy płynęły komuny. A trzeba przyznać, że i takie wypowiedzi się zdarzały.

Kazimierz Miniur poruszył sprawę ogólnikowości dotychczas przyjmowanych dokumentów partyjnych, domagając się, aby „na tym Zjeździe podstawowe dokumenty sformułować konkretnie: co, kto, kiedy, aby była możliwość rozliczenia i oceny ich realizacji”. Bowiem „robotnik jak trzeba to zaciśnie pasa, da z siebie wszystko, ale tylko wtedy, kiedy będzie miał jasno nakreśloną perspektywę. Zbyt długo ludzie byli oszukiwani, aby dziś wturczyli słowem bez pokrycia, bez czynów (...) Towarzyszu Premierze! Użycie swojego generalnego autorytetu, pomieszczenie trochę w administracji państwowej i gospodarczej, dajcie odpocząć ludziom, którzy są zmęczeni. Nowy Komitet Centralny na pewno Wam w tym pomoże”.

W czasie przerwy — poszukując sądeckiej delegacji — po raz pierwszy zwidziałam kuluary Zjazdu (CIĄG DALSZY NA STR. 3)

*Pisane
w pośpiechu*

Telesz z Komitetu Centralnego informuje, że mamy zarezerwowane jedno miejsce w centrum prasowym Zjazdu. Nie ulegam jednak pokusie i decyduję, że pojedzie — najmłodsza w zespole „Dunajca” — Danuta Binek. Spróbuję towarzyszyć obradom zwyczajnie, jak wszyscy: wsłuchując się w relacje polskich i zagranicznych środków przekazu.

Tuż przed uroczystym otwarciem, 14 lipca, telefonuje Danuta: — Na ekranie monitorów widzę, że delegaci zajmują miejsca w Sali Kongresowej. Nie mamy jeszcze fonii. Są kłopoty w dotarciu do naszej delegacji. Rozmawiałam przed chwilą z wojewodą. Ustalili, że 1 sekretarza Komitetu Centralnego wybierze Zjazd spośród członków KC. Nic więcej nie mam do przekazania. Ranne posiedzenie odbyło się przy drzwiach zamkniętych.

— To żadna sztuka wypatrzyć w kuluarach Antoniego Rączkę — odpowiadał żartem. — Ma posturę byłego koszykarza! Ale powiedz, czy są papiery w kioskach?

— Są tylko „Popularne” i „Klubowe”. Po dwie paczki dziennie.

— Wobec tego i ja nie mam nic do przekazania. Pouzdenia!

Na ekranie telewizora ogromna sala, w której przemawiałem tylko raz w życiu i to z fatalnym skutkiem: w kwietniu 1957 roku w obecności Władysława Gomułki stoczyliśmy tutaj bój o oblicze ruchu młodzieżowego... Ten bój, który się za chwilę zaczyna, ma inny ciężar gatunkowy. Kraj znajduje się w potrzebie najcięższej od wojny. Partia — rozchwykana, zmodernowana, poróżniona wewnętrznie. Czy znajdziemy wreszcie wspólny język? Na początek — „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ponad głowami śpiewających delegatów jedno jedyne hasło: Socjalizm trzeba bronić tak — jak niepodległości.

Na mównicy Stanisław Kania. Jesienią ub. roku napisałem, że zrobił na mnie wrażenie umiejętności cierpliwego słuchania cudzych poglądów oraz witalnością. Starczyło mu — jak widać — sił, żeby tę naszą kłódę doprowadzić — wśród falującego żywiołu — do portu. Nie jest to wszakże jeszcze ten port:

„Wielkie są powody do trwogi o dalszy los Polski Ludowej. Toczy się ostra ideologiczna i polityczna walka o władzę, o oblicze naszego kraju.

Spiętrzenie zagrożeń dla socjalizmu, narastanie zjawisk kontrewolucji, kryzys ekonomiczny, rozprzerzenie dyscypliny społecznej, paraliżowanie działania instytucji państwowych stworzyło zagrożenie dla bytu państwowego. Wszystko to stawia na porządku dnia zadanie ocelenia narodowego.

Przyszedł do redakcji Paweł Rzepka. Ma 80 lat i 2450 złotych renty. Po przemówieniu Stanisława Kania zepsuł mu się telewizor. Zgłasza uwagi do referatu KC: za długi, część argumentacji znana od paru miesięcy, natomiast brakuje odpowiedzi na niektóre życiowe pytania. Paweł Rzepka chciałby się na przykład dowiedzieć, co rząd zamierza zrobić z kolejkami: — Pierwszy raz w życiu stanąłem w kolejce 65 lat temu. Była wojna, szło o funt chleba. Towaru brakowało, ale sprzedawca się wstydził, żeby użyć stojącym.

— Przecież Jaruzelski nie stanie za ladą — mówi. — Użył może nam panna Krysią, albo pani Zosia ze sklepu „Lach”!

— Nad panną Krysią jest kierowniczką. Gdyby się znała na handlu...

I tu pan Rzepka trafił w mój czuły punkt. Przed chwilą próbowałem kierowniczkę „Lacha” wywabić z biura do stoiska z chlebem. Nie udało się. Nie chciała zobaczyć, jak jedna sprzedawczyni meczy się z długą kolejką po pieczywo. Kilkanieście dziewcząt pilnowało pustych półek, jedna sprzedawała chleb, kierowniczką siedziała na zapleczu, a w Warszawie radzono jak wyjść z kryzysu.

Przełożeni pani kierowniczką zauważyli na pewno stosowny fragment referatu KC, dotyczący kryteriów doboru kadr kierowniczych. We własnym interesie powinni więc naprawić pomyłkę sprzed paru miesięcy.

Negatywna selekcja kadr: to największe nieszczęście, jakie dziedziczymy od poprzedniej generacji rządzących.

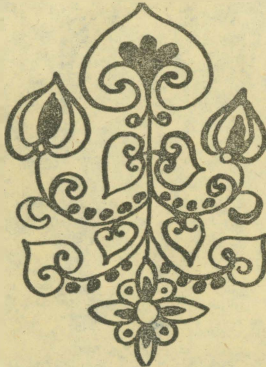
W sali Kongresowej przytlaczająca większość to trzydziesto- i czterdziestolatki. Absolutna rewolucja

po naszej stronie świata! Do głosu doszło pokolenie rówieśników Polski Ludowej. Czy przyjmie ono jako swój pogląd o konieczności prowadzenia walki na dwa fronty?

Stanisław Kania mówi: — Mam na myśli z jednej strony walkę z ideowym kapitulstwem i korzeniem się przed żywością, a z drugiej zaś — nieodłączną potrzebę walki z konserwatywnym myśleniem i tendencjami zachowawczymi. Istnieje potężny nacisk ideologii socjaldemokratyzmu, koncepcji rewizjonistycznych i innych odmian prawicowego oportunizmu. Z drugiej strony nie wolno ani na chwilę osłabiać dyskusji z przejawami postaw konserwatywnych, zachowawczych, a niekiedy wręcz dogmatycznych.

Jak reagują delegaci na te słowa? Prawdy do wiemy się po ogłoszeniu wyników głosowania. Jeśli obetną oba skrajne skrzydła, będzie to namacalny dowód, że większość jest usposobiona centrowo. Jeśli przejdą w wyborach reprezentanci obu skrajnych tendencji — odżyje zadawany bój o wpływy. Możliwość wyraźnego zwycięstwa jednego z tych nurtów należy raczej wykluczyć.

Wieczorem red. Binek donosi telefonicznie o ulotkowej ingerencji „Solidarnościowców” z hoteli warszawskich, którzy kwestionują wysokość racji żywnościowych dla delegatów. Poranna prasa przynie-



sie informację, że obiad składał się wczoraj z zupy, ryżu w sosie pomidorowym, sałaty i kompotu. Wzwanie Lecha Wałęsy, by nie podejmować żadnych akcji protestacyjnych, nie u wszystkich znajduje zrozumienie.

Starcie wokół raportu „komisji Grabskiego”. Zamknięte posiedzenie wyklucza z partii Edwarda Gierka i pięciu prominentnych członków ekipy odpowiedzialnej za kryzys. Prasa cytuje wypowiedź delegata, który domagał się zdecydowanych i natychmiastowych postanowień: — Chcę wracać do swojej miejscowości główną ulicą, a nie przemykać się ze wstydu oplotkami.

Zjazd nieuledlonych, szczerych wypowiedzi. Zjazd bez reżyserii i ukartowanych z góry wyników. Agencja Reutersa przewiduje: „Delegaci spotykają się raczej po to, by s i r o m u i o w a ć politykę, niż po to, by tylko zaaprobować programy przedstawione przez kierownictwo”.

Zjazd rzeczywistości. Nadzwyczajny: odbywający się w wyjątkowej sytuacji, demokratycznie przygotowany, przykuwający uwagę zarówno przyjaciół jak i wrogów.

Zjazd roboczy, bez celi i gestów na pokaz. Dla obserwatorów z zewnątrz — początkowo rozczarujący, gdyż nie wszystko jest pokazywane. Przywykliśmy, że kamery telewizyjne od paru miesięcy trafiały niemal wszędzie. Tym razem delegaci zdecydowali — jak podano po pierwszym dniu — że transmisje sprzyjałyby kokieterii politycznej, mizdrzeniu się mówców. Czy nie idzie jednak o to, że jedność partii trzeba dopiero w pocie czoła wypracować? Czy nie powodowało delegatów przekonanie, iż kraj jest dostatecznie podmówany emocjami i lepiej spierać się w kwestiach drażliwych bez wielomilionowej widowni?

„Na partii cięży dzisiaj podstawowy obowiązek zorganizowania popołudniowego ruszenia Polaków do wyrwania kraju z kleszczy kryzysu”. Tak mówi się z trybuny zjazdowej. A tu, nad Dunajcem, w największym domu handlowym, kwadrans po trzeciej informują: — Chleba nie ma i dzisiaj nie będzie!

Tępnym wydzwaniał do ludzi odpowiedzialnych za funkcjonowanie handlu. Nikogo o tej godzinie nie ma w pracy. Sprawdzam w piekarniach:

chleb jest! Dopiero interwencja Stanisława Zelka z Komitetu Wojewódzkiego powoduje, że pieczywo trafia do „Lacha”.

Czy uparłem się, żeby udowodnić bezadzielną nieudolność kierownictwa tej placówki? Tak, tym razem się uparłem. Po tygodniach obserwacji, cierpliwego namysłu i perswazji — wnoszę o wnikliwie rozpatrzenie postawy kierowniczką „Lacha”, która w jednym dniu nie potrafi dopilnować, by sprzedaż przebiegała sprawnie, a w drugim — nie czyni dostatecznych wysiłków, aby podstawowy artykuł spożywczy dotarł do sklepu.

Z takich zaniedbań bierze się gniew społeczny, rozżalenie na władzę i niewiara we wszystko, co próbujemy robić.

Wyniszczają nas nie tylko błędy i nadużycia surowo dziś osądzone byłyby prominentów. Wyniszczą nas także, dobią i rozpieką marnotrawstwo szeregowych lekkoduchów. Szynka zepsuła w Tarnowie, przeterminowana w Limanowej kawa, konserwy przylane jako złom do Huty imienia Lenina — budzą podejrzenia, bo rzeczywiście wygląda to na sabotaż. Tak jak gadanie, że chleba nie ma i nie będzie...

A z Warszawy płynie w eter dramatyczny apel: — Zwracam się do całego polskiego narodu, do wszystkich rodaków, o solidarność w wielkiej potrzebie. Ojczyzna oczekuje waszej inicjatywy i gospodarności, waszej pracowitości i jeśli trzeba — wyrzeczeń.

Dyskusja na Zjeździe jest nierówna. To normalne: nie wszyscy mają intuicję i doświadczenie, by odślać sprawy ważne, nie cierpiące zwłoki, od słusznych, ale kwalifikujących się na inne forum.

Zapowiedział potknięcie mówczych na Zjeździe były konferencje partijne w terenie, gdzie słuchaliśmy chwiliami głosów naznaczonych zbyt wąskim — a nawet partycularnym — myśleniem. Nie ten nurt wszakże dominuje. Przeważa troska o całość polskich spraw. Nawet w głosach upominających się np. o poważne traktowanie produkcji części zamiennej, widać słuszną intencję udrowienia transportu, bez którego nie opanujemy chaosu w gospodarce.

Jeśli coś mnie razi, to odosobnione wprawdzie, ale wnoszące do Sali Kongresowej dysonansy, nazbyt ogólnikowe deklaracje. Hieronim Kubiak, profesor socjologii, przestrzega w „zjazdowym” numerze „Kultury”: — Czas składania deklaracji ogólnicy, nawet tych najnosniejszych i najbardziej oczekiwanych (jak np. deklaracja głosząca, że od linii odnowy, a więc od linii VI Plenum nie ma odrotu) już minął. Dziś nadszedł wreszcie czas, zdaniem wielu spośród nas opóźnionej o kilka miesięcy, decyzji programowej. Decyzji o tym jak odnowa ma być realizowana (...). Decyzji tych nie da się zastąpić apelami o obronę socjalizmu, bo socjalizm w Polsce można rozwijać — a to przecież także znaczy bronić — wyłącznie poprzez decyzje powstrzymujące mechanizm odnawiających się kryzysów.

Hieronim Kubiak przewodniczy komisji zjazdowej, która formuluje uchwały, syntetyzuje wciąż jeszcze napływające żywym strumieniem wnioski i postulaty różnych środowisk. Przed chwilą poinformował przed kamerami telewizyjnymi, że autorami wielu nadsyłanych propozycji są także bezpartyjni. To znak czasu: w przeszłości nikt by nie uwierzył, że uchwały powstają rzeczywistości na żywo, a nie są dawno obdite na powalaczku.

W relacji z prac 16 zespołów zjazdowych zobaczyliśmy naszego delegata, Franciszka Rusnarczyka, który rozważał rolę aparatu partyjnego w nowej sytuacji politycznej.

W Komitecie Wojewódzkim udostępniono mi informacje napływające z kraju. Niepokojące sygnały o wyczynach wichryczliwych próbujących zakłócić spokój publiczny. Warszawska ulotka podająca kłamstwa o wyzywaniu delegatów, niestety, nie jest jedynym przypadkiem ujawnienia się ekstremizmów pod szyldem „Solidarności”. Sięwcom niepokoju nie wróże niczego dobrego w taki czas. W naszym regionie, na szczęście, dominuje rozsądek.

A na Zjeździe gorące, dobrze skonstruowane i z pasją wygłoszone przemówienie wicepremiera Rakowskiego. Wywoła kontrowersje, będzie szeroko komentowane i cytowane.

Delegaci rozpoczynają czwarte już bodaj zamknięte posiedzenie plenarne. Tym razem decydujące: wybór nowych władz centralnych. Nadeszła godzina prawdy, godzina wyboru. Zjazd zbliża się do północy.

Harmonogram druku naszego tygodnika przynaglił mnie do końca życia tych notatek. Pora złożyć maszynopis w drukarni. Moment jest osobliwy: wiemy, że wybrano już Komitet Centralny, że trwa liczenie głosów. Zaczęło się czekanie przy odbiornikach radiowych. W napięciu. W niepewności. Tak jak wielokrotnie bywało przez te dramatyczne jedenaste miesiące.

Kto sądzi, że teraz nastąpi cisza, że najgorsze za nami — jest w bledzie. Bój o odrodzenie socjalizmu trwa. Zrobiliśmy ważny krok wzbogacający praktykę polityczną demokratyzmami treściami. Potwierdziliśmy wierność ideowym pryncypiom i wierność sojusznicy, sięgnęliśmy odważnie po rezerwy kadrowe, wpisujemy w partyjne dokumenty zasady, o których mówili się od dawna ale raczej nie na oficjalnym forum — dużo, ogromnie dużo... Ale najważniejsze wciąż przed nami: musimy urzuchomić przekładnie przenoszące do praktyki życia społecznego światło myśli i postanowienia oraz spowodować w miarę zgodny ruch ku wspólnemu celowi.

Po to jesteśmy partią, żeby ten nasz — i nasz — popułu z wszystkimi siłami polskiego rozsądku politycznego.

DZIEWIĄTY, NADZWYCZAJNY



(CIAĞ DALSZY ZE STR. 1)

zdu. Byłam na Sali Kongresowej — robi kolosalne wrażenie. Potrąciłam niechęć Mirosława Hermaszewskiego. Widziałam Grzegorza Woźniaka — wcale nie taki przystojny jak w telewizji. W końcu, gdy już straciłam wszelką nadzieję, że uda mi się spotkać naszych delegatów, spozstrzegłam górującą nad pozostałymi sylwetkę Antoniego Rączki.

— Za krótko trwa Zjazd, żeby go ocenić — powiedział mi nowosądecki wojewoda. — Powiem krótko: nie podobało mi się zamieszanie wokół niektórych spraw proceduralnych. Dotychczasowa dyskusja — dobra. Przysłuchujący się naszej rozmowie delegat z Wałbrzycha zażartował: — Widać, że w Nowosądeckiem władze wybiera się według wzrostu.

Następnego dnia dyskusja plenarna rozpoczęła się około godziny 11. Poprzedziła ją część zamknięta Zjazdu. Spośród szesnastu delegatów, którzy wzięli udział w dyskusji, tylko nielicznym udało się oderwać od omawiania szczegółowych problemów swoich środowisk. Powtórzyła się ta sama, co na konferencjach wojewódzkich prawidłowość: przedstawiciel żegluga mówił o problemach żegluga, prezydent Radomia o kłopotach Radomia, itd. Oczywiście, można to racjonalnie wytłumaczyć: po prostu to, co mówili i proponowali kolejni mówcy najczęściej dyktowane było wolą całych środowisk, organizacji partyjnych. Zabrakło jednak w tych wypowiedziach elementów programu, który określałby działania, jakie Partia powinna podjąć w celu przezwyciężenia kryzysu. Zresztą nie tylko ja odniosłam takie wrażenie. Oto opinie naszych delegatów:

— Józef Nowak: — Dotychczasowe przemówienia przypominają mi operę. Za dużo słów, za mało konkretność.

— Jerz, Skrzypski: — Sądzę, że po obiedzie dyskusja trochę się ożywiła. W kilku wystąpieniach bezpośrednio nawiązano do podstawowych dokumentów Zjazdu. Popieram towarzysza Alojzego Czechę, który powiedział do uczestników dyskusji, aby w swoich wystąpieniach więcej uwagi poświęcili formułowaniu wniosków niż krytyce władz. Za dużo mamy opisówek, przekonywania. Niepokojące jest też, że wielu delegatów mówi: „Zjazd powinien”, „Zjazd musi”, a to przecież my jesteśmy Zjazdem i od nas zależy, co wypracujemy. Oczywiście, można podawać konkretne przykłady, ale w celu zobrazowania ogólnych mechanizmów.

— Jeszcze jedna podsłuchana wypowiedź nieznanego mi delegata: — Ludzie, czy zastanawialiście się, jak w świetle dotychczasowych wystąpień przysiadają się po nas...

Do niewątpliwie najciekawszych wypowiedzi drugiego dnia obrad osobiście zaliczyłabym dwie: Zbigniewa Ciechana z Torunia oraz Mieczysława Rakowskiego. Szczególnie ta ostatnia wypowiedź trafiła w atmosferę sali znuzonej zbyt drobiazgowymi przemówieniami. Zresztą nawet na giełdzie dziennikarskiej akcje Rakowskiego poszły zdecydowanie w górę. Gdy po pierwszym dniu wszyscy zdecydowanie stawiali na Stanisława Kanię, w drugim niektórzy zaczęli się wahać: — A mój czarnym koniem będzie Rakowski? Takie opinie krążyły wśród dziennikarzy.

— Onieważ nie zapewniono nam wyżywienia, miałam okazję nawiązać kilka kolejkowych znajomości. Wszyscy stawali na Stanisława Kanię. Tylko jedna osoba była odmiennego zdania: — Mówię pani, że to będzie Olszowski. Miałam sen, że właśnie jego wybiorą.

— Na atmosferę sali w tym dniu miała pewien wpływ ulotka „Solidarności”, w której zarzucono delegatom, że zjadają przeznaczone dla warszawiaków mięso i wędliny. Ta ulotka zbulwersowała delegatów.

— Ożno wieczorem poprosiłam o wypowiedź Józefa Brozka:

— W drugim dniu Zjazdu zaobserwowałem większą konsolidację wśród wszystkich delegatów. Nasza organizacja wojewódzka ma już na swoim koncie pierwsze poważne osiągnięcia: stanowisko, jakie zajęliśmy w sprawach wewnątrzpartyjnych czy w kwestii rolnictwa, potwierdziło się w referacie Komitetu Centralnego. Nasi delegaci są pełni energii, mimo, że zapisali się już do konkretnych zespołów, problemowych, mówią: — „Powiem to co przypołowiałem na swój zespół i postaram się jeszcze uczestniczyć w pracach jakiegoś drugiego”.

Kolejne dni upłynęły pod znakiem pracy w zespołach. Mniej miejsca zajęła dyskusja plenarna. Ale najwięcej emocji wzbudziły wybory do władz centralnych. Dziennikarze licytowali się, kto z członków starego Biura Politycznego utrzyma się, a kto będzie musiał odejść. Na marginesie dodam, że wiele z przewidywań potwierdziło się. Podczas oficjalnego odczytania wyników wyborów powtórzyła się historia z pierwszego dnia; obraz w monitorach co prawda był, ale zabrakło głosu. Bacznie siedzieliśmy, kto z delegatów się kłania i z tego dedukowaliśmy, że przeszedł w wyborach. Zapanowała nerwowa atmosfera, zewsząd padły głosy: „Śledźcie O.”, „Czy K. już ustał?”, „Choleśra, co z J.?” „O rany, patrzcie, S. się kłania!”.

O wyborach krążyło szereg anegdot. Koledcy z radia przysięgali, że to autentyczne fakty. Opowiadano, na przykład, jak jedna z dziennikarek radiowych zapytała dwóch delegatów na kogo głosowali, usłyszała takie odpowiedzi:

— Ja skreślałem, przede wszystkim prawnicowców?

— A po czym towarzysz ich poznaje?

— Proste, to nie chłopci.

Z kolei drugi zapytany odpowiedział:

— W pierwszej kolejności skreśliłem Fiszbacha.

— Dlaczego?

— Bo to taki zastępca Wałęsy.

W piątkowej dyskusji jedną z najlepszych wypowiedzi miał delegat z naszego województwa, Józef Kurdziewicz. Stwierdzam to całkowicie obiektywnie, nie kierując się lokalnym patriotyzmem. Koledcy, którzy wiedzieli, że jestem z Nowosądeckiego, gratulowali mi głosu towarzysza Kurdziewicza.

Jak już pisałam, wiele godzin poświęcono obradom w zespołach problemowych. Przysłuchiwałam się, jak radzono o problemach młodego pokolenia. Dyskusja w tym zespole należała do najsłabszych. Złożyło się na to szereg przyczyn, z których najważniejsza była podobna jak w przypadku obrad plenarnych: delegaci zostali skrępowani stanowiskiem swoich organizacji, które zobowiązały ich do zabrania głosu, tak więc nie zważając na to, że poprzednicy poruszyli już dane kwestie, wypełniali swoje zobowiązanie. A ponadto spotkali się przedstawiciele kilku organizacji młodzieżowych pozostających ostatnio na ścieżce wojennej.

Zacząło się od sporu pomiędzy przedstawicielami starszego pokolenia (które chcą nie chcąc wystąpić z pozycji nauczycieli), a młodzieżowcami. Kiedy wreszcie młodzi doszli do głosu, okazało się, że to również nie to. Na nic zdały się nawoływania: — Towarzysze, przegraliśmy już jedną bitwę: bitwę o udział młodych na Zjeździe, a w tej chwili przegrywamy drugą. Nie czas na spory organizacyjne, wszyscy jesteśmy członkami tej samej partii.

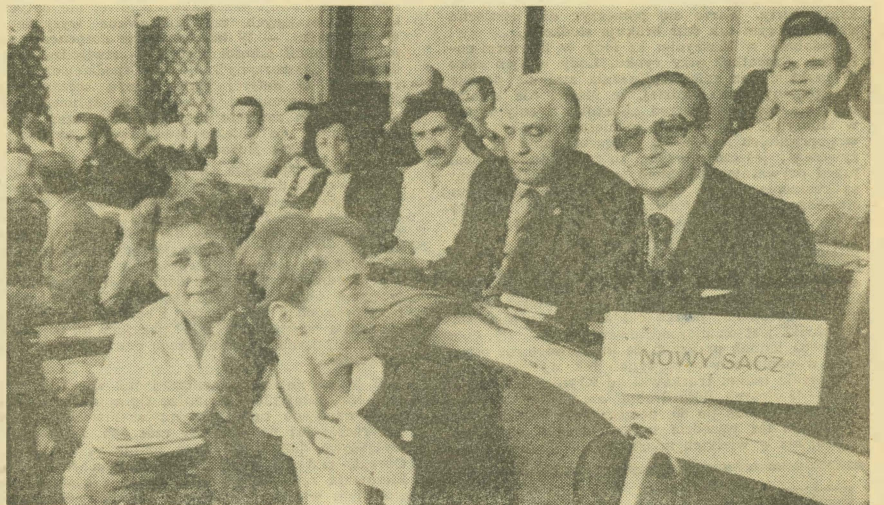
Podsumowując dyskusję Henryk Jabłoński powiedział: — Na tym Zjeździe jest w bardzo małym, zaledwie dwa procent, tymczasem w tocących się od roku wydarzeniach prym wiodą ludzie z wazszych roczników. Jest tu więc jakaś niespójność. Sprawy młodzieży nigdy nie cieszyły się popularnością wśród rządzących, nawet po Sierpniu nikt nie wziął ich sobie poważnie do serca. Pomyślcie jednak, czy mowi działacze, którzy wejdą do władz będą o was pamiętać? Ważniejsze jest, jak wy wykorzystacie obecną sytuację. Nie ustawiajcie się w charakterze petentów, lecz bojowników o oblicze partii, o jej przewodnią rolę. Odpowiedzialność za PZPR i za jej losy bierzecie w swoje ręce.

Na zakończenie dwie refleksje. Podczas obrad Zjazdu spotkały się dwa języki: ceremonialny, wyważony, odświętny, przywiązany do okolicznościowych formuł oraz język żywy, spontaniczny i bezpośredni, mniej dbały o kurtuazję, o to, żeby czegoś nie przeżaskawić lub nie przeczołkć, leć za to zmierzający do sedna sprawy, szukający prawdy. Ten drugi od razu elektryzował salę, nagradzany był oklaskami. Znawcy twierdzą, że język nie tylko wyraża, ale i kształtuje myślenie. Mówiąc jasniej: uczymy się myśleć po prostu, odróżniać sprawy mniej istotne od ważnych, rozbić schematy zbudowane często z samych tylko pokrętnych słów. Jednym z najważniejszych zadań tego Zjazdu było właśnie rozbić tych schematów i znalezienie wiarygodnego języka rozmowy partii ze społeczeństwem.

I ostatnia sprawa: przysłuchując się rozmowom delegatów i dziennikarzy, zauważyłam nie tylko ogromne zainteresowanie przebiegiem najwyższego forum partyjnego, ale i to, że każdy z moich rozmówców czuł powagę chwili i niepodważalne znaczenie Zjazdu. Koledcy dziennikarze, którzy przysłuchiwali się obradom VII Zjazdu PZPR mówili o kolosalnej różnicy, jaka jest między tamtym a obecnym forum partyjnym. Dawniej w kuluarach mówiło się o wszystkim tylko nie o sprawach partii i układało dowcipy, obecnie jedynym tematem był sam IX Zjazd Partii.

Tyle naskorkowych wrażeń z Warszawy. Reszta — po powrocie do Nowego Sącza.

DANUTA BINEK



Naszych delegatów w Sali Kongresowej fotografował MACIEJ SOCHOB

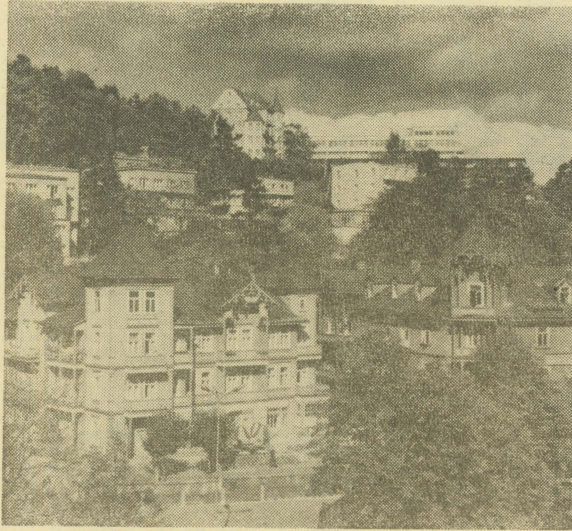
30 czerwca krakowska Kronika tv podaje wiadomość, że w Muszynie i Żegiestowie są jeszcze wolne miejsca w kwaterach wczasowych. Trochę to niespodziewane.

Jadę rozeznac sytuację w pierwszym tygodniu lipca. Ten rok jest szczególny. Warto zobaczyć, jak wyglądają wakacje na południu Beskidu Sądeckiego w warunkach mocno odmiennych od dotychczasowych.

Pierwsze wrażenie: tej odmienności z daleka nie widać. Pogoda dość łaskawa — z siedmiu dni tylko jeden był deszczowy, a dwa pochmurne z temperaturą umiarkowaną — ale były też dwa dni upalne. Widać normalny ruch — i leniwy spokój — wczasowy. Wprawdzie między Rytrzem a Piwniczną więcej nad Popradem krów i owiec, niż plażowiczów, lecz jeśli zagłębić się w dolinę ryterskiej Roztoki czy potoku w Żegiestowie, to spotkać można na koczach licznych urlopowiczów.

Adam Garbicz

U WÓD, LATEM 1981



Fot. JERZY ŻAK

Kolejki? Zawsze były w miejscowościach wczasowych i uzdrowiskach; może tylko ta różnica, że najdłuższe dziś tworzą się pod sklepami monopolowymi. Do Krynicy na ulicę Bieruta właśnie dobiegli „Klubowcy”. Można kupować po dwie butelki, ale aby zdobyć pełne, trzeba oddać pustą. Obowiązuje forma prohibicji — myśle — tylko ciągle picie zapewnia dostęp do gorzality — Nie, tak źle nie jest — uśmiecha się moja informatorka w Urzędzie Miasta — Każdy przecież jakoś tę butelkę znajdzie, a jeśli nawet nie, bo na przykład jest nowoprzyjeźdnym wczasowiczem, który chce urządzić skromne obławienie imienin, to nie czyni mu się trudności. Musielimy podjąć tę decyzję w porozumieniu ze „Spotem”, bo hurtowni brakuje butelek i postawiła warunki — Bardzo dobre zarządzenie! — chórnie komentują słyszący naszą rozmowę zainteresowani.

Niebawem przy tej samej ulicy Bieruta w Krynicy tworzy się jeszcze dłuższy wąż oczekujących — przed sklepem cukiernym. Będą cukierki czekoladowe! Wśród oczekujących na towar krążą żarty. Warto się pomóc dla uśmiechu dzieci, którym tak dziś brakuje słodkości.

Podobnie w Muszynie: są lody w kawiarni-cukierni „Szarotka” przy rynku. Lody w tym roku to rarytas, bez zniecierpliwienia stoi się po nie pół godziny, tym bardziej, że niecie. Ale kolejki wiją się nie tylko przed „Szarotką”; cały rynek w Muszynie obłożony, nie pamiętam, aby tak było w poprzednich latach. Tu po gazety; tam do spożyczego; jeszcze dłuższa, pięćdziesięciosobowa, przed prywatnym kioskiem owocowo-warzywnym: są czeresnie po 75 złotych za kilogram. Pytam starszego pana, który starannie sprawdza wydaną resztę, czy to stale taka cena? — Owszem — mówi. No tak, oto widomy dowód rozmiarów nawisu inflacyjnego. Nic dziwnego, że dwie dziewczyneczki z takim zapalem próbują osiągnąć owoców dziko rosnącej czeresni kolo cmentarza w większym Żegiestowie. Czeresnia stara, jeszcze lemkońska, pięknie obrodziła: pestkę okala niewiele miąższu, ale słodki jest on niespodziewanie.

Trzeba jednak przynieść, że inne owoce nie osiągnęły w ośrodkach wypoczynku tak wysokich cen i są wcale ładne: truskawki od Krynicy po Rytrę po 43—45 złotych, dość drobne, ale świeże i suche; maliny w Rytrze po 60, porzeczki są wszędzie po 23—25; są też wszędzie świeże jarzyny. Sytuacja lepsza, niż w wielkich miastach!

Ale jak jest z tym zakwaterowaniem? W Żegiestowie cichutko zarówno w części sanatoryjnej, jak we wczasowej. Rzeczywiście nie widać wielu ludzi, i na słupach telefonicznych wiszą karteczki o pokojach do wynajęcia. A więc — potwierdza się, że napływ urlopowiczów w tym roku mniejszy? — Owszem — mówi mi 1 lipca zastępca dyrektora: przedsiębiorstwa turystycznego „Jaworzyna” w Krynicy, Andrzej Klimkowski: — Nasze miejsca są wykorzystane w 85—90 procentach, natomiast wielu ludzi nie przybyło do budynków FWP, choć miejsca były wykupione. Powody? Zdaje się, obawy przed niepewnością sytuacji, a ponadto braki paliwowe: po prostu nie mieli benzyny, aby się dostać własnym samochodem. My też mamy zaledwie połowę paliwa potrzebnego do autobusów; a przy okazji dalsze kłopoty — na przykład wiem, że od 1 lipca miała być zmiana cen w autokarach turystycznych, a do tej pory nie

z pieczywem (rzeczywiście, braków chleba nie zauważyłem ani tu, ani w innych miejscowościach) — najgorzej jest chyba ze środkami piorącymi: tylko 30 procent pokrycia zapotrzebowania. Musielimy wydzielić dla kolonii i obozów to, co bezwzględnie konieczne, z puli miejskiej. Wywołuje to spore niezadowolone starych mieszkańców.

Widzę właśnie próby udobrochniania piwnicznymi karteczkami w kiesku „Ruchu”, wieszając od 25 czerwca: „zgodnie z zaleceniem Naczelnika Miasta i Gminy Piwniczna artykuły takie jak środki czystości i piorące, papierosy, środki higieny osobistej i papier toaletowy sprzedaje się na stałe zameldowanie”. No cóż, z kolei narzekają przyjeźdźni — zeszła mydło i papierosy to jeszcze nie wystarczy: co mają robić taksowarce, jeśli brak benzyny? „Nam się należy bezwzględnie, my pracujemy w usługach” — mówią. Z drugiej strony — bez paliwa nie wyjedzie z Piwnicznej swoim samochodem przybyły tu wczasowicz. Komu najpierw?

Równie zapełniona ludźmi Muszyna spogląda na zaopatrzeniową codzienność dużo jaśniej: — Od czasu wprowadzenia kartek — mówi pani Eleonora Homiak z Urzędu Miasta — dostajemy dużo większe przydatki. Nawet z mięsem nie jest najgorzej, odpowiednie ilości trafiają do domów wczasowych, poważne kłopoty ma tylko gastronomia otwarta. Natomiast brak środków do mycia i prania, a szczególnie do czyszczenia sanitariatów — i to jest zagrożenie poważne: boimy się o bezpieczeństwo higieniczne w obozach i koloniach.

Musiabym się chyba przebić przez wszystkie rozdzielniki i wykazy — i to w przekroju historycznym — aby zrozumieć te różnice samopoczucia pomiędzy Piwniczną i Muszyną. Nie widom się wprawdzie z pierwszej ręki, jak wygląda muszynski stan nasycenia wczasowego, czy jak się to tam zwie (ekspozytura biura turystycznego „Poprad” akurat zamknięta, pracownik służbowo wyjechał do Nowego Sącza) — ale przecież widać, jak wielu tu ludzi, nawet poza centrum. Zaglądam na „naszą” ulicę Ogrodową, miło wijącą się zakrętami w górę i w dół. Bardzo tam teraz ładnie, rzeczywiście ogrodowo, dużo kwiatów — i wczasowiczów nie mniej. — Proszę pana — mówi sąsiad urzędniczka z „Popradu” — on ma istne urwanie głowy z tymi skierowaniami!

Pytam jeszcze starych mieszkańców Muszyny, czy rzeczywiście zadowoleni z zaopatrzenia. — Na pewno to lepiej niż w wielkich miastach — ocenia pan Kazimiera Kilarska. — Tworzę jest stale, może pan zobaczyć (rzeczywiście, jest), także śmietana, a nawet niedawno był sólty ser, o, w tym najbliższym sklepie. Nie do wiary! Złoty ser! No, teraz już jestem upewniony, że Muszyna ma się nieźle.

Ale bardziej pociągająca wydaje mi się czebra Rytra. Przede wszystkim całą miejscowość aż do domów wczasowych położonych już dość wysoko nad doliną Popradu. Ten bliższy tu „Perla Poludnia” Kombinat Budownictwa Miejskiego Warszawa-Południe. Przedpola ma mało efektowne: na kamienistym i dziurawym nieużytku, gdzie w kałuży opadał dziękowy śmietnika tapła się parę kaczek, tkwi kij z tablicą:

ZAKAZ PLAŻOWANIA
WSTĘP WZEBRONIONY
Gospodarstwo Leono Rońnicki
w Piwnicznej-Koszarzykach

Myślę, że nie plażowałbym tutaj nawet za dopłatą. Zresztą nikomu to nig przyjdzie do głowy: kawaleczek dalej od „Perły Poludnia” wspaniałe, zalesione wzgórze i zielona dolina potoku. Sam ośrodek jest nowy — działa dwa lata — i ma bardzo wysoki standard wyposażenia. Ale czy ta świetność nie jest od spodu podszyta biedą? — Nie — mówi jeden z zagadniętych. — Byłem tu zeszłego roku; w tym jest tak samo dobre wyużycie i zaopatrzenie kawiarni. Spotkałem mnie miła niespodzianka. Zachecony łąką opłonia, śpięszek poznać kierownika. Stanisław Wysocki opowiada szeroko, jakich musiał używać zabiegów (dodając, że o niektórych nie wspomni), aby poradzić sobie z utrzymaniem ośrodka: brak mu około połowy potrzebnej żywności; zresztą nawet według rozdzielnika na papierze nie ma jednej trzeciej. Rantunkiem jest kooperacja: to Krakowskie Zakłady Dobriarskie coś podzuczą, to Debickie Zakłady Mięsne — w zamian za miejsca wczasowe. Środki piorące wyłuskują po całym kraju. Oczywiście, własnym transportem tego nie zwiezie; wynajmuje więc samochody — no i na razie jakoś nie traci rangi.

Zegnamy się życzeniami dalszego powodzenia; ale schodząc znów ku Popradowi nie mogę się oprzeć myśli, że mocnym ośrodkiem utrzymać się dziś o wiele łatwiej, niż tym małym; że różnice pomiędzy możliwymi i słabymi będą się teraz powiększać. Cóż mają do zaofiarowania te drobne? Jakie argumenty przetargowe mogą wysunąć dla poprawy swej sytuacji kolonie, którym brak środków do mycia? I logą liczyć tylko na odpowiedzialność, na poczucie obowiązku miejscowych władz, tak bardzo naciskanych z drugiej strony przez starych mieszkańców.

Jeśli nie w tym roku, to w następnych nastąpią chyba przewartościowania upodobań Polaków wyjeżdżających na wypoczynek. Przyczyną będzie ekonomiczna: lepiej zdecydować się na małą miejscowość, na wypoczynek niemal na odludziu, w ciszy. Wędruję przez Żegiestów i rozważam: czy nie lepiej dziś wrócić do wakacji na wsi? Przecież tu, w pobliżu gospodarstw rolniczych, o wiele łatwiej zdobyć podstawowe środki żywnościowe — a o innych, niż podstawowe, na razie trzeba zapomnieć.

Zakładam, że tak się stanie. Uczymy się szybko. I nie przejmujemy nadmiernie: ponarzekać można, ale nigdzie nie zauważyłem nastrojów rozdrażnienia, rozgoryczenia, paniki. Polak wytrzyma. Jest czas wypoczynku — trzeba wypocząć.

dotarł do mnie dokument w tej sprawie. Podobnie z decyzją przewodniczącego Głównego Komitetu Turystyki o zmianie cen hotelowych: choć została podjęta 23 czerwca, pismo doszło dopiero w osiem dni później, a więc z chwilą kiedy teoretycznie zaczęła obowiązywać. Tymczasem zanim wprowadzimy nowe stawki, musimy opracować ceniki: to potrawa.

Może więc urlopowiczów odstrasza także przewidywany chaos organizacyjny? Jeśli tak, to niestety. Wydaje mi się, że miejscowości wczasowe na południu Beskidu Sądeckiego zostały przygotowane w takim zakresie, w jakim było to możliwe. Andrzej Klimkowski, a także pracownicy wydziału spraw turystycznych krynickiego urzędu miasta zapewniają, że u nich zostało to zrobione. Także w zakresie zaopatrzenia. Stołówki prywatnych domów mają odpowiednio przydzielać masy mięsnej, są jedynie kłopoty ze „Spolem”, które odmawia żywienia, choć otrzymuje kartki (urlopowicze po trzech dniach zameldowania czasowego mogą zarejestrować swoje bony żywnościowe; nie dotyczy to osób mających zagwarantowane wyżywienie w ośrodkach) — W każdym razie dotychczas nie ma reklamacji jakości posiłku — stwierdza wicedyrektor „Jaworzyny”. — Ale spodziewamy się trudności na dalszej fazie sezonu wczasowego. Zamknięcie granic i pewność, że sytuacja we wnętrzu kraju zostanie ustabilizowana, musi zwiększyć napór na polskie miejscowości wczasowe: skoro nie można jechać do Bułgarii...

A zatem spokojna Krynica, którą oglądałem w pierwszych dniach lipca, przeżywa tylko krótkotrwały powrót do swojej prawdziwej roli cichego uzdrowiska. — Tak — wzdychają kryniczanie — chyba się nie nacieszmy obrazem przypominającym dobre czasy tego źródła, przypominającym, jak tu być powinno. Rzeczywiście: nie pamiętam z poprzednich lat, aby na deptaku było tak pust w porze obławowej. W kawiarni „Wisła” ledwie parę osób, choć jest i kawa, i herbata (z cukrem), ciastka, a nawet lody. „Miś” pozycujący do zdejść się w wózku, bernardyn z zaprzęgu dzrimie obok. Tak spokojnie...

W Muszynie czy Piwnicznej już zupełnie inaczej. Nie, tutaj nie potwierdza się opinia o mniejszym napływie turystycznym; w Piwnicznej widać raczej już na pierwszy rzut oka, że zjechało wyjątkowo dużo osób. Tego zdania są też Maria Obrzut, zastępca naczelnika i Helena Nakielska, kierownik referatu handlu i usług, z którymi rozmawiam w urzędzie miasta: — Mamy nadkomplet! A w dodatku braki zaopatrzeniowe. 40 procent mniej, niż wynoszą potrzeby, prawie zupełnie brak jaj, dobrze jest tylko z mąką i cukrem oraz

SZUKAMY DOBRYCH POMYSŁÓW

Zwracamy się do przedstawicieli różnych środowisk z prośbą o udział w dyskusji na temat tych zjawisk życia, które mogą powodować zakłócenia i zadrzażenia.

Chcemy mówić o tym, co boli i denerwuje oraz wspólnie znajdować lepsze i skuteczniejsze rozwiązania.

Ileż jest spraw, których załatwienie wymaga jednej odważnej decyzji, czasem odrobiny dobrej woli...

Istotą akcji, którą „Dunajec” ogłosił przed dwoma tygodniami, jest poszukiwanie dobrych pomysłów, racjo-

nalnych recept, konstruktywnych pomysłów. Redakcja pragnie je upowszechnić, a następnie pilotować w taki sposób, by możliwie szybko wdrożone zostały do praktyki życia zbiorowego.

Zwrócenie się do ludzi ambitnych, pragnących zmian, może w pewnym stopniu przyspieszyć przezwyciężenie kryzysu, jaki poraził kraj. Bardzo liczymy na odzew naszych Czytelników. Nie spodziewamy się jakichś cudownych rozwiązań generalnych. Idzie nam o konkretne propozycje, które mogą odblokować hamulec zdrowego rozsądku nawet na małym odcinku, w jednej choćby dziedzinie, w miasteczku, gminie czy zakładzie pracy.

Zamierzamy publikować także pomysły kontrowersyjne, wymagające dopracowania, stanowiące dopiero impuls dla ekspertów. Dziś pierwsze wypowiedzi.

stawek kwaterunkowych są rezygnacje władz miejskich z przyjmowania darów budynków („Nie po to sprzedajemy posiadane zasoby mieszkalne, byśmy brali nowe kłopoty na głowę” — taki argument można usłyszeć w Urzędzie Miasta!).

● Likwidacja kwaterunku wywołał hamowaną do tej pory energię gospodarzą inwestorów indywidualnych, którzy z obawy przed przysusową gospodarką lokalami nie wykańczają swych budynków. Domy te mogą pełnić funkcję mieszkań rotacyjnych (dla oczekujących na mieszkanie spółdzielcze i budujących własny dom).

● Zabieranie mieszkań osobom, które uczucie i z pracy rąk własnych wybudowały sobie dom, jest nieuczciwe i niemoralne.

● Należy reaktywować komunalne budownictwo mieszkaniowe, natomiast pozostałość budownictwa spółdzielczego pozostawić do dyspozycji spółdzielni.

● W rejonach podmiejskich konieczne jest tworzenie warunków sprzyjających budownictwu zespołów domów jednorodzinnych dla dwuzawodowców.

● Zwiększenie zakresu samodzielności wymaga funkcjonowania wytwórni i przedsiębiorstw budowlanych.

● Niezbędne jest stworzenie podstaw do uruchomienia małych — państwowych, spółdzielczych i prywatnych — wytwórni materiałów budowlanych i przedsiębiorstw. Należy umożliwić im korzystanie z kredytu, zakupu i dostępu do energii.

Tyle inżynier Łukaszczyk. Jego projekt jest wyraźnie polemiczny z koncepcją szukania rezerw mieszkaniowych w domach prywatnych dotychczasowymi metodami. Prosimy o opinie fachowców z administracji państwowej. Chętnie posłuchamy także głosów naszych Czytelników.

Notowała: BEATA DEMBOWSKA

Mówi inżynier architekt JÓZEF ŁUKASZCZYK z Zakopanego

— W marcu bieżącego roku na apel Urzędu Miasta zwołano zebranie przedstawicieli komitetów osiedlowych w sprawie rozwiązania zakopiańskich bolączek mieszkaniowych. Było to rozczulające, że my, przedstawiciele społecznych komitetów — po latach niemożności innych instytucji — mamy znaleźć rozwiązanie tego problemu. Odbyło się jedno zebranie, na drugie przyszedł już inny przedstawiciel władzy i trzeba było do nowa relacjonować nasze sugestie... Aby na trzecim, czy czwartym nie zaczynać znów od początku — napisałem projekt koniecznych zmian prawno-organizacyjnych i złożyłem u sekretarza Komitetu Miejskiego, Marka Kozioła.

Wysłuchałam inżyniera Józefa Łu-

kaszczyka, a następnie poprosiłam o kopię owego szkicu, który narazie nie znalazł rezonansu.

Oto główne myśli z „PROJEKTU ANULOWANIA SZCZEGÓLNEGO TRYBU NAJMU LOKALI I BUDYNKÓW W ZAKOPANEM”:

● Substancja mieszkaniowa w chwili obecnej ulega gwałtownemu niszczeniu. Dane z grudnia ubiegłego roku mówią, że w Zakopanem ponad sto budynków znajduje się w stanie kwalifikującym je do rozbioru.

● Aby znaleźć pokrycie finansowe na remont budynków, należy ustalić czynsz za wynajem według stawek stosowanych w spółdzielczości mieszkaniowej. Ustalenie realnego czynszu uzdrowni radykalnie stosunki między właścicielami a najemcami.

● Nowe przepisy o gospodarce lokalami winny zezwolić na to, by właściciel mógł po doprowadzeniu budynku do stanu wykonczego zawrzeć umowę o najem (notarialną lub sądo-

wą, uwzględniającą obowiązujące stawki i określającą termin wynajmu).

● W szczególnych przypadkach władze miejskie dofinansowałyby ludzi o najniższych zarobkach, by podniesione stawki czynszowe mogły zyskać społeczną akceptację.

● Zniesienie przysusowej gospodarki lokalowej zahamuje napływ ludności z zewnątrz oraz stworzy bodźce dla budownictwa indywidualnego.

● Uprowadzając ewentualny zarzut, że broni się interesu sektora prywatnego, należy przypomnieć ustawę zwalającą władzom miejskim na sprzedaż lokali i budynków państwowych osobom indywidualnym. A ponadto wiadomo, iż mieszkańcy komunalne i spółdzielcze są dewastowane w o wiele większym stopniu niż prywatne.

● Przynusowa gospodarka lokalami prowadzi do dewastacji, gdyż zanika zainteresowanie budynkiem i stroy właściciela (brak rentowności) i lokatora. Dowodem absurdalności obecnych

DOMINIK MALINOWSKI: jak uzdrowić Szczawnicę?

Było już tyle „lekarzy”, co chcieli uzdrowić stosunki szczawnicze, że mógł głoś zapewne niewiele wiać. Spróbuj jednak, w myśl przysłowia: „ziarnko do ziarnka...”

Na Szczawnicę: uzdrowisko i gmina — patrzę z dwóch punktów.

Po pierwsze — jestem rolnikiem — więc może najpierw o rolnictwie. Należałoby, moim zdaniem, już od zaraz, zacząć pracować na roli tak, żeby jednego kawałka ziemi nie było niezoraonego i aby na ani jednym kawałku nie pozostał niezabrany plon. Choć, po prawdzie, nie widziałem na Podhalu jakiegokolwiek miejsca, gdzie plony by zmarnowano. Tu, u nas, zbiera się co do odrobiny wszystko, co się tylko da. Ale dziś trzeba robić jeszcze więcej, bo jesteśmy — cały naród — w wielkiej potrzebie. Jeśli więc każdy w swoim zakresie, w swojej rodzinie, w swoim gospodarstwie cokolwiek usprawni — to w całej Polsce stanie się lepiej.

Na przykład — hodowla owiec: przybyła ich w Szczawnicy szybko, zwłaszcza ostatnio, nie trzeba żadnej zachęty — drożdża skóry, wulna jest poszukiwaną, mięso też. Niby to trzy-nieć owiec w gospodarstwie to nie tak wiele, żeby mogło zaważyć w województwie — ale przecież gdyby w każdej miejscowości Nowosądeckiego na taką niewielką skalę hodowlę podjęto — razem byłaby niebagatelna liczba! Nie zwiększaliby natomiast wypasu zespołowego w Szczawnicy — pasie się tu akurat tyle owiec, ile futajskie łaki mogą wyżywić bez szkody dla środowiska przyrodniczego.

Należy też zadbać o to, by każdy, napawając kury, hodował sobie też jedną krowę, kury: o svinach nie mówię, bo dla nich trzeba żyta, ziemiaków, ale dla krowy i kur zawsze w Szczawnicy pasza się znajduje, a czasu — nawet jeśli ktoś pracuje osiem godzin na posiadzie — też trochę wygospodaruje.

Każda rodzina mogłaby też zadbać o ogródek warzywny, choćby najmniejszy.

Ogromnie ważne jest jak najszybsze usprawnienie handlu — żeby ci ludzie, którzy idą do pola, do pracy, harując od świtu do zmroku, nie mając ani wolnych sobót, ani święta żadnego — nie stali pod sklepami całą noc, nie wiedząc nawet, czy coś wystoja. W Szczawnicy jest to problem ogromny, bowiem w sezonie przyjeżdża tu mnóstwo kuracjuszy i oni właśnie tworzą kolejkę, mając więcej niż ludność miejscowa czasu — więc i większe szanse kupienia czegośkolwiek. Według mnie zatem dla ludności miejscowej 4 kuracjuszy powinny być osobne sklepy, zwłaszcza mięsne, przynajmniej wyraźnie rozdzielone godziny sprzedaży i wydzielona pula towaru.

Tyle o najważniejszych i możliwych do wprowadzenia od zaraz usprawnieniach pracy szczawnickich rolników. Jeśli zaś chodzi o Szczawnicę — miasto i uzdrowisko, to sądzę, że jest duża szansa poprawienia w niej sytuacji, jeśli nowa dyrekcja uzdrowiska będzie autentycznie współpracować z władzami administracyjnymi. Wiele mówiło się u nas dotychczas o dwuwładzy, o tarciach między „miastem” a poprzednim dyrektorem uzdrowiska. Uważam, że źródłem tego sporu były osobiste niechęci i ambicje, a cenę za to płacimy dziś wszyscy.

Najwyższy czas, by powiedział „stop” dzikiemu i bezmyślnemu rozwojowi Szczawnicy (a myślę, że i wszystkich innych miejscowości uzdrowiskowych w województwie). Cały jej byt zależy od specyficznych warunków przyrody, klimatu, wód. Zachowanie ich, nie niszczenie nadmierną eksploatacją powinny stać się nadrzędnym kryterium wszelkich decyzji. Według mnie Szczawnica nie powinna zwiększać liczby ludności, bo przekształci się w wielkie miasto,

a tym samym przestanie być... Szczawnicą. Przede wszystkim powinno się zahamować napływ ludzi z całego kraju, którzy chcą tu zamieszkać na stałe. W Szczawnicy-uzdrowisku nie ma na to miejsca.

Szkoro już jestem przy budownictwie, to powiem, że bardzo wiele trzeba tu zrobić, a pewnych szkód nawet już się nie da naprawić. Należy skończyć z praktyką budowy architektonicznych potworków, nie pozwalać na budowanie innych domów niż te, które odpowiadają tutejszemu stylowi. Również Związek Podhalań zabiega o to, w skali całego Podhala.

Jeśli chodzi o komunikację... Coż, mamy dworzec PKS w Parku Zdrojowym i choć były plany przeniesienia go, w ten ciężki czas trudno byłoby żądać środków na tę inwestycję. Należałoby natomiast już dziś ograniczyć w mieście ruch samochodowy, między innymi przez wvelimowanie w sezonie przewoźni drzewa. I las byłby nam wdzięczny za takie ograniczenie wyrob. Bo z naszych szczawnickich lasów idzie drzewa więcej, niż góry potrafią wytrzymać. Las jest wyniszczony i nadal się go niszczy. Mniej stracił widać w lasach chłopskich, bo chłop las szanuje, ale w państwowych...

Miejscowi ludzie w ogóle bardziej dbają o przyrodę niż przyjezdni. Czy goście za mało wiedzą o potrzebie jej ochrony, czy też sobie po prostu lekceważą przyrodę? Sprzyjcie taki autem, wjedźcie, gdzie chce, zbiera cokolwiek zobaczy, nawet dziewięćmił po łąkach wycina. A przecież nasze szczawnickie lasy, nasza przyroda to warunek bytu uzdrowiska; jak Szczawnica będzie wyglądała, gdy zabraknie lasu? I wód ubędzie wtedy, i powietrze straci swe lecznicze właściwości.

Zbyt mało propagujemy dziś tradycje historyczne, kulturalne Szczawnicy i piennickiego regionu. A byłoby co po-

kazać przyjeźdźnym i byłoby na czym uczyć młodzież miejscową miłości do rodzinnej ziemi. Dlaczego, na przykład, nie przestrzegać też zasady, że flisy, fiakry i miejscowy przewodnik powinni „urzędować” w regionalnych strojach, a tak samo i obsługa źródeł, jak to było przed wojną? Dlaczego nie prezentuje się systematycznie dorobku kulturalnego? Wiem, że brak nam porządnego domu kultury — ale niejedno dałoby się uczynić nawet z tymi środkami, którymi dysponujemy. Trzeba jednak, by ktoś znający się na rzeczy zyskał poparcie urzędu i miejscowej inteligencji. Dom kultury powinien być prowadzony porządnie i z poświęceniem. Kto to ma robić? Ktoś taki jak tutejsza nauczycielka, Salomonowa, która całą duszą oddaje się ratowaniu tradycji. Sama jednak nie poradzi, ale znamienne jest, że nasze muzeum powstało — jako pierwsze w kraju — z inicjatywy i trudem miejscowych chłopów, a nie naukowców, profesorów, artystów. Pewnie, że nie jest bogate, ale mamy prawo być z niego dumni. Dużą nadzieję pokładam w panu Zachwieju, który objął sprawę kultury w gminie — zna dobrze ten region, wszędzie go widać, jest pełen zapału, energii, inwencji. To młody człowiek i jeśli sobie doberze paru podobnych — wiele mogą zrobić. Muszą jednak mieć nasze powszechne poparcie — władz również.

Mam wiele, bardzo wiele marzeń związanych ze Szczawnicą, ale dziś musimy pogodzić się z faktem, że naszego kraju nie stać na inwestycje, wydatki.

Notowała: ELŻBIETA GLINKA

Brodaty straszny w Witowie

Jak wieść niesie, przed ćwierć wiekiem ukazał się w Witowie diabeł. Przyszedł, aby zabrać do piekła Jaska N., któremu nie było skoro do żeniaczki z Zosią. Jasiak Zosię, owszem, lubił, ale do ołtarza iść nie chciał. Pewnego razu wysłannik Lucyfera naszedł młodych na wieczornej randce. Napędzwszy Jaskowi strachu wymógł na nim przysięgę, że w najbliższą niedzielę da na zapowiedź. Wkrótce odbyło się huczne weselisko.

Tak naprawdę diabłem okazał się Staszek Neda, którego rodzina Zośki namówiła do mistyfikacji w celu przypięcia ożenku. Gdyby nie to, że kilku osobom trudno było utrzymać język za zębami, może do dziś krążyłaby opowieść o diable, który Jaska — co panna balamucik, a od żeniaczki stronił — chciał porwać do piekła. Na kanwie tego wydarzenia Julian Reimshüssel wystawił potem w Zakopanem sztukę teatralną pod tytułem „Diabeł na Podhalu”.

Dziś nie diabeł straszny w Witowie, lecz długa czarna broda Jana Siutego. Niechętnie na nią patrz — co było do przewidzenia — starzy górale, jak też i młodzi, co już trochę dziwi.

— Jestem kontrowersyjny, taka „czarna owca” — mówi o sobie Siuty i nadzwyczaj nieśmiało się przy tym uśmiecha. — Jestem Don Kichot, chcę walczyć z wiatrakami. Chciałbym przejść przez życie z jakimś uzasadnieniem, pozostawić po sobie coś pozytywnego.

Spacerując wiejską drogą trafiamy na pytające spojrzenia miejscowych. — Wiesz, u nas jest tak — tłumaczy Siuty — jak ktoś południem zamiast robić w polu lub przy zagrodzie wałęsa się, niby bez celu, rozmawia — to nie ma poszanowania. Tu się leżą sprawy przyziemne: dobre gazdactwo, chałupę stawić, rodzinę zakładać. U mnie jest inaczej i dlatego tylko częściowo zostałem zaakceptowany.

Jan Siuty, rocznik 1946, mieszka wraz ze schorowanymi rodzicami oraz najmłodszym bratem w stuletniej chałupce, która wyraźnie kontrastuje z murewanymi, sztelistymi domami we wsi. Najstarszy, Staszek — skończył podobnie studia (zootechnik i weterynar) i wyjechał do Kanady. Młodszy — Jacek również przebywał za oceanem

w Stanach Zjednoczonych. Poldek ożenił się w Cichem i prowadzi własne gospodarstwo. Jasiak chodził do „Balzerowki” i ma za sobą rok studiów w Instytucie Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Warszawskim. Do dziś wspomina ten okres jako wielką przygodę intelektualną swojego życia. Przerwał studia, gdyż ktoś musiał rodzicom pomagać na dziesięciohektarowym gospodarstwie.

Janek — bohater kilku centralnych turniejów z zakresu wiedzy społeczno-politycznej i quizów telewizyjnych, laureat ogólnopolskiego plebiscytu „Dwudziestu najwybitniejszych młodych Polaków roku 1973 m. in. (obok Zimermanna i Wszoly), czuje się w swojej wsi nieco wyobcowany. Skończył trzydziście pięć lat i odczuwa już zmeczenie aktywną działalnością społeczną. Wiele lat pełnił rozmaite funkcje: przewodniczącego koła ZSMP, wcześniej ZMW i ZSMW, szefa LZS-u. W ostatnich miesiącach reaktywowano koło ZMW.

W ciągu tych lat Jankowi wspólnie z kolegami udało się wypracować atrakcyjne formy działalności młodzieży. Wymienił choćby imprezy na powitanie i pożegnanie wczasowiczów, zabawy i wieczorki taneczne, historyczne zgadywanki o Ziemi Chochołowskiej. Nie sposób przedstawić wszystkie akcje organizowane przez „siutystów”; najważniejsze to: „Wiosna czynów”, „My — do was, wy — do nas”, „Zbieramy plony jesieni”, „Sztafeta pokoleń”, „Karnawał w klubie”. Dzięki sukcesom Siutego, Tyłki, Długopolskiego i innych w olimpiadach wiedzy społeczno-politycznej narodziły się określenia „WITOWSKA AKADEMIA POLITYCZNA” — czy pół żartem, pół serio — „siutyizm” — czyli kierunek filozoficzny, którego podstawą jest wyzwanie rzucone środowisku.

Siutego interesuje wszystko, co związane jest z polityką, współczesnym światem, filozofią, ideologią. Interesuje — to z bytów słabo powiedziane. Raczej pasjonuje go, pochłania. Nie ma konsumpcyjnego stosunku do wiedzy. Pragnie odczytywać na środowisko, tworzyć.

Kiedyś marzyło mu się dziennikarstwo. Zie zmienione szczęściem szturmował lamy rozmaitych gazet, którym proponował wydrukowanie własnych przemyśleń i uwag.

Życie kulturalne Witowa skupia się wokół baru „Hanka” (klub prasy i książki po raz kolejny zmienił pomie-

szczenie i teraz słońcy jest w prywatnej chałupie, w której ustawić można jedynie kilkanaście krzesel). Siadam z Jasiakiem przy kufelku piwa i pytam: Skąd u ciebie ta żyłka społeczna?

— Trudno tak od razu odpowiedzieć. W latach sześćdziesiątych założyliśmy w Witowie koło ZMW. Była to pierwsza organizacja młodzieżowa na tym terenie. Wyrzekaliśmy się wtedy wszystkiego. Takie były czasy i taka konieczność. Byliśmy bardzo docieklivi i uparci, często słyszeliśmy „pod prąd”. Pamiętam jak nie wpuśczone nas na wojewódzki zjazd ZSMP, ponieważ nie mieliśmy czerwonych krawatów.

— A dziś? Co uważasz za najpilniejszą do załatwienia w twojej gminie?

— Chodzi ci o to, czy ogień odnowy dotarł do Witowa, czy tylko go osmalili? Można by w skrócie podsumować — wrzasku dużo, siersci mało — rzekł diabeł strzygąc kota... Do obrzydzenia powtarza się nam, że rolnictwo teraz ma zielone światło. Trzeba odwrócić kolejność myślenia; to właściwie nie chłop potrzebuje pomocy, gdyż nawet najprymitywniejszymi metodami potrafi wyżywić całą rodzinę, ale na dobrą sprawę całe społeczeństwo grozi głodem! Dlaczego w naszym kraju można robić biznes na pomidorach, kwiatkach i kogutach, tylko nie na tym, co stanowi podstawę wyżywienia narodu?

Brakuje kos, widel, łańcuchów, ogumienia. Gdyby nie pewexowski zakup, maszyn nie wjechałoby w pole. Przypomnia mi się taki dowcip. Otóż chłop wybierając się w pole, sprawdza po kieszeniach: legitymacja — jest, wytyczne — są, tezy — są. W porządku. Na polu sprawdza jeszcze raz: legitymacja jest, wytyczne są, tezy są. Cholera, a gdzie bronie?!

— Rolnicy na Podhalu pracują w o wiele trudniejszych warunkach, niż w pozostałej części kraju...

— Ale pięćmi jednakowe podatki (za wyjątkiem gruntowego), przed naszymi gospodarstwami specjalistycznymi postawione są jednakowe wymogi produkcyjne. Wprowadzono współczynnik hektarów przeliczeniowych, który ma załatwić sprawę wysokości produkcji, jest na naszym terenie bzdura, gdyż o ile większego nakładu pracy wymaga hektar ziemi tej klasy położony na Pogórzu, niż na przykład w środkowej Polsce. Wiesz nie chce politykowania, lecz mądrego gospodarowania, gdyż rolnik indywidualny, który musi sobie tworzyć warsztat produkcyjny, produkuje najtaniej. Obliczam, że uspołecznione gospodarstwa rolne uzyskują z jednego hektara produkcję czystą około 3,6 razy mniejszą niż gospodarstwa chłopskie. Co więc jest bardziej socjalistyczne, dobre — indywidualne gospodarstwo czy bankrutujący PGR?

— Jesteś wieloletnim działaczem młodzieżowym i to w środowisku najtrudniejszym, do nas.

— Tak, młodzież wiejska przez lata traktowana była jak pięta koła u wozu. Z zainteresowaniem śledziłem przebieg dyskusji w „Dunajcu” na temat ruchu młodzieżowego pt. „Młodzi: osobno czy razem?”. Również na własnym podwórku obserwuję mechanizmy wykonywania celów i zadań. Akcja goni akcję, następuje przerost współwzrostu. Twierdzi się wręcz, że młodzież nie ma czasu myśleć, że coraz mniej jest młodzieży refleksyjnej. Z jednej strony jest to młodzież wyrosnięta, urodziwa, z drugiej — niezbyt dojrzała psychicznie, ale zdarzają się przecieć fakty pozytywne. Pamiętasz uczniowskie klasy czwartej i piątej występujących w programie dotyczącym mitologii? Jakże świetnie odpowiadali na pytania!

A teraz drugi biegunk: morderstwo popełnione na milicjancie z Opiekunowej Izby Dziecka w Zakopanem czy też gwalt szkocki wyrosków ze szkoły zawodowej w Nowym Targu, w czasie Jarmarku Podhalańskiego, jak porównać młodego mistrza techniki z „Glinika” z chuliganem odsiadującym wyrok za pobicie rówieśnika.

Z przykrością muszę stwierdzić, że coraz częściej inicjatywa młodych ogranicza się do organizowania dyskotek. Liczy się to, co w portfelu, a nie wartości duchowe. Nie wychodzą nam dzisiaj ani czyny społeczne, ani imprezy kulturalne. Obsesyjny kult dolara przesłania wszystko. Może mówić jak mentor, tak jakbym wszystkie rozumy pozjadał i zawsze miał rację. Nie mrie przecieć ferować oceny, ale nie ukrywam, że coraz mniej we mnie optymizmu.

Janek Siuty jest dwa lata młodszy od Polski Ludowej, sięga więc pamięcią do okresu, gdy we wsi nie było jeszcze elektryczności i diaby chłopów straszły. Nie było wtedy żadnej świetlicy, kino przyjeżdżało raz na pół roku. Do najbliższej stacji w Podczernem trzeba było iść (i to dobrze) ponad godzinę. Wiesz chodziła spać razem z kurami. Dziś, choć wiele się zmieniło, świadomość mieszkańców Witowa pozostała niemal ta sama. Nawet tłumy turystów i letników z całej Polski nie wpłynęły na przemianę obyczajów.

Siuty nie dba o funkcje ani splendor. Starannie omijał go udział w wyścigach organizowanych przez Zarząd Wojewódzki ZSMP, nagrody. W ubiegłym roku wjechał na moskiewską Olimpiadę, ale jako laureat olimpijskiego konkursu redakcji „Tempa”. Coraz trudniej mu realizować swoje ideały, ale — jak powiada — nie poddaje się. Zryje ciekawie i twórczo. Nie godzi się na układy i kompromisy. Jest po prostu inny, a to czasem klucze w oczy,

Brakuje dobrej woli

Kiedy w lutym pisałam o pracy sióstr PCK, a w marcu opiekunek PKPS-u, wspominałam wówczas o konieczności przyznania im uprawnień do robienia zakupów dla ich podopiecznych poza kolejnością. I oto 12 maja wicewojewoda nowosądecki — w oparciu o decyzję ministra Handlu Wewnętrznego i Usług — wydaje takie zarządzenie. Wydawałoby się więc, że wszystko w porządku. Tymczasem...

Koniec czerwca. Jedziemy z inspektorem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, Franciszkiem Lipieniem do Cieniawy. Bezpośrednim powodem jest dramatyczny list dwójga tamtejszych mieszkańców, w którym skarżą się, że umierają z głodu.

Pierwszą wizytę składamy w Urzędzie Gminy w Grybowie, gdzie zdobywamy bliźsze dane o autorkach listu. Okazuje się, że są to Anna i Leopold Ogorzały — rodzeństwo — inwalidzi I grupy — od lat cierpiący na zanik mięśni. Wśród grybowskiich urzędników mają opinię takich, co to notorycznie pisują do wszelkich instytucji. Tematyka listów, którym zakłócają cenny, urzędniczy czas, różnorodna; proszą o pracę i o podział majątku, o podniesienie renty i o wydzielenie ich części gospodarstwa, o wózek motorowy i o telefon, o położenie kładki przez rzeczkę oddzielającą ich dom od drogi, i o węgiel. Adresaci tych listów także różni; począwszy od I sekretarza KC, a skończywszy na wojewodzie. Z reguły omijają Urząd Gminy. Prawdopodobnie nie wierzą w operatywność jego urzędników. Poza tym posiadają pismo z UG, w którym wyraźnie napisano: Tutajsz Urząd wyczerpał już wszelkie możliwe środki do polubownego załatwienia sporu i następne skargi kierowane przez Annę

i Leopolda Ogorzały do lutejszego Urzędu pozostaną bez odpowiedzi.

— Jeszcze się taki nie narodził, kto by im dogodził — stwierdza pracownica socjalna z przychodni miejskiej Anna Pękala.

Po chwili dodaje: — Umierają z głodu? Trudno. Ja im nie będę stała trzy godziny po masło.

Nie sposób pogodzić się z takim podejściem do sprawy! Mówi to urzędniczka dla której pomoc choremu lekceważliwie — z racji zajmowanego przez nią stanowiska — powinna być zwykłym, codziennym obowiązkiem! Oczywiście nikt nie wymaga od niej, aby poświęciła swoim podopiecznym cały dzień kosztem własnego domu i rodziny, ale też nie wolno jej lekceważyć swoich elementarnych obowiązków. Jednym z nich było zapoznanie się z zarządzeniem wicewojewody, o którym — jak zdolałam się orientować — pani Pękala jeszcze pod koniec czerwca nie wiedziała.

Z kolei z Stanisławą Romanek zajmującą się opieką społeczną w UG w Grybowie, odbyłam taką rozmowę:

— Ilu opiekunów społecznych pracuje na terenie gminy?

— Szesnastu.

— A ile upoważnień do robienia zakupów poza kolejnością pani dotychczas wydała?

— Dwa.

— Czy poinformowała ich pani o takiej możliwości?

— Oczywiście. Każdy kto się do mnie zgłosi, może takie zaświadczenie otrzymać.

Czyżby więc grybowski opiekunom społecznym nie zależało na takim uprawnieniu? A może nie mają kłopotów z zaopatrywaniem swoich podopiecznych? W co, przyznam szczerze, nie wierzę.

Nasza wizyta u państwa Ogorzałych przyniosła pozytywne rezultaty. Na najbliższe miesiące będą mieć zapewnioną żywność, a może i węgiel (obiet-

nica pani Pękali). Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że jest to jeszcze jedna historia, w której biurokracja okazała się potęgą nie do pokonania. Historia, w której papiery i bezduśność urzędników przerosły człowieka. Być może są to za ostre słowa, ale trudno mi się pogodzić z takim traktowaniem inwalidów, ludzi, którzy zasłużyli sobie na pomoc, szacunek i choćby minimalne zainteresowanie, a którzy nie zawsze mogą przyjść do urzędu i prosić o łaskę.

Na zakończenie jeszcze jedna sprawa, również nie wystawiająca dobrego świadectwa tym, do których obowiązków należy pomoc najbardziej potrzebującym. Otóż mamy w kraju kilka stowarzyszeń, które stawiają sobie podobne zadania. Mamy na myśli: PCK, PKPS, TPD, Komisję Charytatywną Episkopatu Polski. Dawniej działały one obok siebie bez większych problemów. Obecnie, kiedy od ich wspólnego działania wiele zależy, wyszły na jaw stare uprzedzenia, fałszywie pojnowane ambicje. Dowód: ostatnio zaczęła przychodzić do Polski pomoc z zagranicy w formie paczek z żywnością i lekarstwami. W poszczególnych województwach te towary są dzielone pomiędzy najbardziej potrzebujących, nie są to duże ilości np. pół tony żółtego sera na całe nowosądeckie. W pierwszej kolejności żywność i lekarstwa otrzymują domy dziecka, oddziały noworodków w szpitalach położniczych, rodziny zastępcze, rodziny wielodzietne, osoby starsze, samotne i chore.

Nie wiem, jak jest w innych województwach, ale u nas okazało się, że to wcale nie jest obojętne, kto, pod opieką jakiej organizacji się znajduje. Dochodzi do podziałów na „naszych” i „wazszych” podopiecznych. Każda instytucja, na której konto adresowane są dary ze świata, działa osobno, choć podopiecznych mają właściwie tych samych. Aż się prosi, żeby skoordynować działania, sporządzić wspólne listy, wyszukać odpowiednie lokale, wspólnie dzielić to, czym się dysponuje, bo wtedy łatwiej uniknąć sytuacji, że jeden potrzebujący pomocy otrzyma ją z trzech źródeł, a inny wcale (w Sączu była już taka historia z kurczakami). W Dziale Służb Społecznych poinformowano mnie, że podjęto już próby sporządzenia wspólnych list; oby były to próby udane. Pamiętać bowiem musimy o jednym: szybko i sprawnie zorganizowana akcja pomocy zagranicznej nie może spotkać się z indolencją strony polskiej.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

REDAGUJE
KRZYSZTOF DOBOSZ

Odnowa: co toaczy?

Słowo „odnawa” nie przez wszystkich jest właściwie rozumiane, a jego sens w wielu wypadkach spłyca się, a nawet wypaczony. Nie kusząc się o próbę pełnej definicji tego pojęcia, myślę, że odnawa to przede wszystkim proces przemian zarówno w stylu przewodzenia przez kierowniczą siłę narodu — PZPR, jak rządzenia i kierowania przez wszystkie szczeble administracji państwowej i gospodarczej.

Będzie to proces długotrwały i wymagający przeobrażenia świadomości i mentalności wszystkich Polaków. Nie tylko na kierowniczych stanowiskach. Nie można też sądzić, że zakończy się on wraz z IX Nadzwyczajnym Zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który raczej winien być gwarantem, iż proces ten trwał będzie nadal i nigdy nie powtórzą się wynaturzenia, do jakich doszło w ostatnim dziesięcioleciu. Z kolei obowiązkiem każdego Polaka jest pracować „po nowemu”, to znaczy z większą troską o mienie społeczne, przestrzegać społecznej i zawodowej dyscypliny.

Uważam również, że traktowanie odnowy nie tylko jako oczyszczenia partii — administracji z ludzi skorumpowanych, o nieczystrych rękach — jest tylko jednym aspektem tego tak ważnego zagadnienia. Ten początek musi być jednak zrobiony, bo nie można dokonać — i nie dokona się — odnowy rękami tych samych ludzi, którzy wielokrotnie już zmieniali się jak kamelony, by tylko nie opuścić wygodnych foteli i nie zrezygnować ze związanych z nimi przywilejów.

Jeśli chodzi o naszą partię, a zwłaszcza jej etatowy aparat, to muszą nastąpić radykalne zmiany idące w trzech kierunkach: po pierwsze — należy ograniczyć do niezbędnej ilości etatową kadry aparatu, odciążając ją z zadań, polegających na dublowaniu pracy organów administracji, na rzecz rozwinięcia inspirowalnej roli instancji partyjnych. Po drugie — konieczne jest obrócenie do tego aparatu ludzi naprawdę najlepszych, ideowych, aktywnych i skromnych, które to cechy charakteryzują prawdziwych komunistów. Po trzecie — instancje partyjne wszystkich szczebli muszą silnie tkwić w terenie w zakładach pracy, wśród klasy robotniczej, aby uważnie słuchać docierających głosów, brać je pod uwagę, poznawać faktyczne nastroje i bolączki szeregowych członków partii.

Jeśli idzie o organa administracji państwowej i gospodarczej, to za najważniejsze i niezbędne dla odnowy tego aparatu uważam: po pierwsze — jego odbiurokratyzowanie i usunięcie zeń ludzi, którzy nie potrafią zmienić swojej mentalności i sposobu działania. Po drugie — musi nastąpić prawdziwe

zbliżenie władzy do obywatela, będące niezrealizowanym dotychczas celem reformy administracyjnej 1975 roku. Tematem nr 1 na dziś jest problematyka rynku i wyżywienia narodu. Po trzecie — administracja musi wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za podejmowane decyzje, bez obciążania nią instancji partyjnych.

I wreszcie trzecia płaszczyzna działania w ramach odnowy, moim zdaniem najtrudniejsza, to po pierwsze — wyrobienie u każdego obywatela poczucia pełnej odpowiedzialności za losy kraju; po drugie — poszanowanie władzy, co ściśle wiąże się z zagadnieniem dyscypliny społecznej i zawodowej; po trzecie — sumienne wykonywanie zadań na każdym odcinku pracy dla pełnej realizacji naszych sojuszniczych zobowiązań.

PK rez. dr BRONISŁAW WĄSOŃSKI
Nowy Sącz

Po sierpniu 1980 zaczęło funkcjonować pojęcie „odnawa moralna”. Chcąc sprzeczyć sobie na pytania: kogo ma dotyczyć ta odnawa? Czy w tej sprawie jest możliwy i potrzebny jakiś program działania? Gdzie szukać rad, wskazówek, dróg wyjścia z dylematów moralnych jednostki?

Odnawa moralna ma dotyczyć całego społeczeństwa, ma dotyczyć tych, którzy popadli w kolizję z prawem, bądź zasadami etyki (tak laickiej, jak — w wypadku ludzi wierzących — chrześcijańskiej).

Co uważamy dziś powszechnie za naganne moralnie? A więc — łapownictwo, brak poszanowania i kradzieże mienia społecznego, naruszanie dyscypliny pracy, nieszczerłość i dwulicowość (co innego się myśli, co innego mówi publicznie, a jeszcze co innego robi), wyrządzanie innym szkód moralnych i materialnych poprzez oszczerstwa, „kopanie dołków”, niesłowność itp.

Program poczynany w zakresie odnowy moralnej jest potrzebny, bo nie może być żadnego celowego i skutecznego działania bez określonej z góry koncepcji. Musimy uświadomić jasno społeczeństwu i poszczególnym jednostkom, o co nam chodzi, do czego zmierzamy i co chcemy osiągnąć.

Wskazówek, rad i wzorów postępowania moralnego należy szukać przede wszystkim wśród ludzi, cieszących się w swoim środowisku nieposzlakowaną opinią, zaufaniem, a w dalszej kolejności — w literaturze pięknej poruszającej dylematy moralne, w literaturze naukowej (np. ciekawa i cenna książka Z. Mysłakowskiego „O kulturze współżycia”, W. Tatariewiczza „O szczęściu” czy kilka prac T. Kotar-

bińskiego z zakresu tzw. etyki niezależnej).

Odnawa moralna potrzebna jest polskiemu społeczeństwu m. in. dlatego, że dotkliwy kryzys ekonomiczny został — zdaniem wielu osób — spowodowany degradacją moralną społeczeństwa, w którym odczuli się i rozwijają najgorsze cechy Polski szlacheckiej — sibiopafstwo, dygnitarstwo i zdobywanie pozycji kosztem innych ludzi, którzy w końcu też mieli prawo do godziwego życia.

MARIAN JANIGA
Ropa

„Pocztówka z Krynicy”

W związku z krytyczną notatką pod powyższym tytułem, którą ukazała się w „Dunajcu” nr 27, a dotyczyła braku taksówek w różnych punktach Krynicy, wyjaśniam, że:

1. taksówki poruszają się po Krynicy w zasadzie trzema głównymi ulicami i jeżeli tylko nie koluduje to z przepisanymi drogowymi i przewozowymi, zatrzymują się na każde żądanie klienta;

2. istnieje możliwość przywołania taksówek telefonicznie;

3. postój „taxi” przy szpitalu i restauracji „Hawana” jest niewłaściwie oznakowany, zajęty w większości przez samochody prywatne i dostawcze, co powoduje, iż taksówki stać tu nie mogą;

4. ulica Słotwińska jest w przebudowie, więc zgodnie z § 16 regulaminu przewozów kierowca może odmówić jazdy w takich warunkach terenowych. Jednak mimo trudnych warunków i niebezpieczeństwa uszkodzenia samochodów świadczymy nasze usługi kierując się pobudkami humanitarnymi — przewożą osoby kalekie, matki z dziećmi, względnie osoby z ciężkimi bagażami.

Opinia autora notatki, p. Stanisława Kozaka wyduje się zresztą osobobna. Zdaniem tak mieszkańców Krynicy, jak i osób przyjezdnych, korzystanie z taksówek nie stanowi w naszym mieście problemu, jak to ma miejsce gdzie indziej, a wprost przeciwnie — taksówki zazwyczaj czekają na pasażerów.

W celu uniknięcia w przyszłości krytycznych uwag kierowcy taksówek w Krynicy otrzymali 6 lipca br. polecenie zatrzymywania się na postoju przy szpitalu — na czas do 10 minut, gdy postój nie będzie zajęty przez innych użytkowników dróg.

JAN ADAMOWICZ
mąż zaufania taksówkarzy
w Krynicy

Ocalenie przyrody ratunkiem człowieka

Pod takim hasłem Polski Klub Ekologiczny w Krakowie, Młodzieżowa Wszechnica Dziennikarska Zarządu Krakowskiego ZSMP i Młodzieżowy Klub Twórców Kultury „FORUM” ZK ZSMP ogłaszają

HONOROWY KONKURS FOTOGRAFICZNY

Celem konkursu jest uzyskanie zdjęć i fotoreportażów, których treść ma uświadomić społeczeństwu zagrożenie naturalnego środowiska regionu krakowskiego, tarnowskiego i nowosądeckiego. Organizatorzy mają nadzieję, że mocna forma ekspresji i zebrana w ten sposób dokumentacja będzie przekonująca nie tylko dla społeczeństwa, ale przede wszystkim dla ludzi za ten stan odpowiedzialnych i władnych go zmienić. Pragniemy, aby prace możliwie szeroko obejmowały zagadnienia ochrony naturalnego środowiska człowieka: nie tylko ochronę wód, powietrza, ziemi, zieleni, piękna krajobrazu, parków narodowych i innych pomników przyrody, lecz także problemy zagospodarowania odpadów, składowisk oraz ratowanie zespołów zabytkowych.

W konkursie mogą uczestniczyć wszyscy fotorafotografy, którzy nie ukończyli 35 lat. Każdy autor może nadać dowolną ilość prac. Do przesyłki należy dołączyć kopertę opatrzoną godłem; godłem należy także opatrzyć fotogramy. W zaklejonej kopercie powinny znajdować się dane personalne autora i spis wszystkich nadanych prac. Winny być one opisane, zawierając m. in. takie dane, jak miejsce i data wykonania zdjęć. Wskazany format prac 30x40 cm, chyba, że koncepcja artystyczna uzasadnia format mniejszy.

Prace konkursowe należy nadsyłać na adres: Klub Twórców Kultury ZK ZSMP „FORUM”, Kraków, ul. Mikolajska 2. Termin nadsyłania prac upływa 15 października.

Sąd konkursowy przyna następujące nagrody honorowe: jedną pierwszą, dwie drugie, trzy trzecie oraz pięć wyróżnień.

Udział w konkursie będzie świadczył o poparciu dla idei i programu polskiego ruchu ekologicznego.

Ogłoszenie werdyktu nastąpi w październiku br.; wystawa prac konkursowych odbędzie się w listopadzie w Galerii „FORUM”. Organizatorzy przewidują zorganizowanie podobnych wystaw także w innych miastach regionów krakowskiego, tarnowskiego i nowosądeckiego. Najlepsze prace będą drukowane w prasie.

● O negatywnych skutkach reformy administracyjnej 1975 roku pisze w obecnym liście do redakcji p.k. rez. dr Bronisław Wąsoński z Nowego Sącza. Czy rzeczywistość przyniosła ona zamierzone efekty? Temat jest kontrowersyjny, wymaga — naszym zdaniem — obiektywnej, wyważonej publikacji.

● W lipcu przypadają rocznice śmierci znanych i zasłużonych członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych: Piotra Krzykalskiego i Adama Pacha. Przypomina o nich pan Józef Cifak, przysyłając jednocześnie własne wiersze, poświęcone pamięci obu niezwykłych twórców. Dziękujemy, postaramy się je wykorzystać w przyszłości na naszych łamach.

● O Józefie Węglarzu-Matusku, ludowym poecie ze Szczawnicy, kronikarzu regionu pienińskiego — słów kilka skreślił szczawniczanie, pan Józef Witkowski. Postać bohatera listu zasługuje na obszerniejszą publikację, może w naszym cyklu „Galeria twórców ludowych”?

● Pan Antoni Nawrocki z Krynicy sygnalizuje pomyłki, jakie popelnia komputer w Rejonie Energetycznym Nowy Sącz. Mimo, iż autor listu termi-

W skrócie

nowo (a czasem przed terminem) dokonywał opłat za energię, został ukarany... za zwłokę. Kwota jest niewielka, chodzi o balagan.

● „Piękna nasza Polska cała”. Pod tym hasłem odbył się na trasach Pienińskiego Parku Narodowego XII Zlot Organizatorów Turystyki, którego celem było m. in. podnoszenie kwalifikacji tych ostatnich, poprzez poznanie regionu i praktyczne zapoznanie się z problemami ochrony środowiska — informuje pan Józef Witkowski.

● Kolejną porcję korespondencji nadesłał z Krynicy pan Stanisław Kozak. Tym razem nurtują go takie sprawy, jak zapotrzebowanie się domów czasowych w warzywa i owoce w punktach sprzedaży detalicznej, co utrudnia zakupy indywidualnym konsumentom. Dalej: postuluje objęcie w jak najszybszym czasie reglamentacją takich artykułów, jak papierosy, kawa naturalna, alkohol. Sprawa cen na targowiskach: za dużego krolika sprzedawcy żądają

już 800 złotych, mimo to znajdują się nabycy. A co mają robić ludzie, otrzymujący przeciętne — lub niższe niż przeciętne — zarobki? Kilka słów o „Dunajcu” za mało miejsca poświęcamy głosom czytelników, a nasze publikacje pozostają bez odpowiedzi ze strony zainteresowanych władz i instytucji. Czy celowe jest poświęcanie kolumny na program telewizyjny, który w znacznym stopniu jest nieaktualny? Zdajemy sobie sprawę z tych mankamentów, niestety w wielu wypadkach usunięcie ich nie zależy tylko od dobrej woli redakcji.

● Odpowiedź udzielona przez prezesa Zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej w Krynicy na notatkę „Za co płacimy podwyższone czynsze? „niestety nie może być satysfakcjonować mieszkańców ulicy Rewolucji Październikowej w Krynicy. Wbrew temu, co zawiera urządzone pismo — mieszkania zimą nie są ogrzewane, jak należy. Również o rozpoczęciu prac przy zakładaniu instalacji

gazowej mieszkańcy nie zostali na czas poinformowani; wielu z nich odnawiało wcześniej swoje mieszkania, by potem robić to po raz drugi, usuwając skutki kucia w ścianach itp. Papier (urzędowy) jest cierpliw — stwierdza pan Antoni Nawrocki.

● Pan Józef Mirta, przewodniczący Podhalańskiego Stowarzyszenia Kulturowo-Oświatowego Cyganów, zwraca uwagę na fakt, iż część ludności cygańskiej, która przechodzi na osady tryb życia, podejmując stałą pracę (nierazki są przypadki znacznych zawodowych osiągnięć i awansów) nieradko staje się celem chuligańskich ataków ze strony swoich współplemieńców. Widownia liczących incydentów jest m. in. osiedle Świerczewskiej w Nowym Targu. Władze porządkowe nie interweniuje.

● Harcerze z Mszany Dolnej przysłali nam widokówkę z pozdrowieniami z obozu w Majdanie Sopotkim Ślicznie dziękujemy!

GALERIA TWORCÓW LUDOWYCH

ANDRZEJ GOMBOS z Jurgowa



Snycerka podtatrzańska — różnorodna, misterna, ogromnie wysmakowana — już w połowie XIX wieku wzbudziła duże zainteresowanie przybyszów. Jednym z najwybitniejszych jej kolekcjonerów był Bronisław Dembowski, który razem ze swą żoną Marią, późniejszą towarzyszką życia Stanisława Witkiewicza, zgromadził prawie czterysta rzeźników, kilkadziesiąt polić, listów z „gadzikami”, zdyli i innych „rzeźbionych” czyli rzywanych sprzętów. (Snycerkę nazywano wówczas „rzeźbą”, a ludową rzeźbą figuralną nie interesowano się; trzeba było dopiero osiągnąć ekspresjonizm, by w latach dwudziestych artyści dojrzyli wartości tej dziedziny plastyki chłopiejskiej). Władysław Matlakowski, autor pomnikowego dzieła „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu”, opracowując temat, w znacznym stopniu opierał się o kolekcję Dembowskich. Obecnie znajduje się ona niemal w całości w posiadaniu Muzeum Tatrzańskiego, zaś książka Matlakowskiego doczekała się wznowienia w reprimis, jest to nabycia i kosztuje tysiąc czterysta złotych.

To właśnie góralska snycerka, obok budownictwa, stała się punktem wyjścia do powstania „stylu zakopiańskiego” — który, w myśl za-

łożeń jego twórcy, Stanisława Witkiewicza, miał być polskim stylem narodowym, jednoczącym naród przez trzy zabory. Tęgo postulat „styl” nie spełnił, bo nie mógł — lecz stał się niewątpliwym instrumentem propagandowym w latach niewoli.

Takie są „górne i chmurne” dzieje góralskiej snycerki. Po pierwszej wojnie światowej zaczęła się ona z wolna przeistaczać w przemysł pamiątkarski — ale było jeszcze dość odbiorców miejscowych, by wciąż istniała i by wciąż nowi adepti poznawali jej tajniki.

W latach pięćdziesiątych, gdy zaczęto stopniowo usuwać owce z Tatr, prawie zupełnie ustąpiło zapotrzebowanie na sprzęt pasterski. Snycerka, pielegnowana przez tyle stuleci, byłaby prawdopodobnie zaginęła gdyby nie powstająca właśnie, wówczas jeszcze nie wynaturzona, „Cepelia”. Jej długoletnim współpracownikiem jest między innymi **ANDRZEJ GOMBOS** z Jurgowa — znakomity snycerz, stolarz i nauczyciel zawodu.

Zgromadził on w swej pracowni kilku snycerzy, bednarzy i w ogóle „narabiających” z drewnem gazdów. Wyrabiali oni dla „Cepelii” łyżniki, warzechy, miniatutki gilet, skopków i innych naczyń.

Gombos, znakomity organizator, zaprosił do swego warsztatu kilkunastu góralskich chłopików. Pierwszy zorganizowany przez niego kurs snycerski był w roku 1966-7, o ile się nie myle, Krzysztafano z konsultacji Heleny Średniawy, łączącej w jakże fortunny sposób funkcję kustosa Muzeum Tatrzańskiego i eksperta Cepelii. Od tego czasu przez „Akademię majstra Gombosa” — jak ją żartobliwie nazwał dziennikarz z miesięcznika „Ziwo!”, organu Towarzystwa Czechów i Słowaków w Polsce — przewinęło się kilkudziesięciu uczniów. Próbowali oni — prócz snycerki — także rzeźby figuralnej i malarstwa na szkło.

Sam Gombos również zajmował się rzeźbą figuralną i korzenioplastyką. Wystawiał sporo, zwłaszcza w Czechosłowacji. Wydaje się jednak, że najciekawsze rezultaty osiągnął w snycerce. Ma również spore zasługi jako animator współczesnej sztuki ludowej.

Tekst i zdjęcie: ANTONI KROH

Amatorski ruch plastyczny ma w Sączceznacznie już długoletnią tradycję. Patronuje mu m. in. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowym Sączu. W jego łonie powstała w roku 1963 Sekcja Plastyki Amatorskiej, przekształcona w roku następnym w Klub Plastyków Nieprofesjonalnych i Twórców Ludowych, którego przewodniczącym do czerwca br był Kazimierz Dagnan, zasłużony działacz kultury, kustosz Galerii Obrazów Bolesława Barbackiego. O aktywności członków Klubu świadczyć może ich liczny udział w 12 kolejnych konkursach i wystawach pokonkursowych, organizowanych przy współpracy z byłym Powiatowym Ośrodkiem Upowszechniania Kultury, oraz w konkursach wojewódzkich, organizowanych przez Wojewódzki Ośrodek Kultury w Nowym Sączu.

czą, Marian Lopatyński z Nowego Targu, Mieczysław Markowicz, Andrzej Mazurkiewicz, Jacek Migdaś, Stefan Pekala, Bogumiła Rosiek-Pekalowa, Stanisława Weglarca i Leonard Wrzosek z Nowego Sącza, oraz Janina Zabierowska z Gorli.

Prace swe eksponując rzeźbiarze: Stanisław Baziński z Rabki, Stefan Bochenek i Juliusz Kolodziejski z Krynicy oraz Eugeniusz Kuryllo z Piwnicznej.

Ceramikę drobną, figuralną wystawia Kunegunda Jezowska z Muszyny-Złockiego.

Trzeba stwierdzić — za prof. Włodzimierzem Hodysem z Krakowa, patronem nieprofesjonalnej twórczości plastycznej, członkiem honorowym nowosądeckiego TPSP — że o ile sztuka współczesna, profesjonalna, w pogoni za

Wystawa w starosądeckim „Domu na Dolkach”

W ub. roku Zarząd Klubu zorganizował pierwszą zbiorową wystawę prac swych członków w „Domu na Dolkach” w Starym Sączu, w której trzech rzeźbiarzy i szesnastu malarzy eksponowało łącznie 80 prac. Cieszyła się ona dużym zainteresowaniem starosądeczan, wczasowiczów, młodzieży kolonijnej i obozów wędrownych. W przeciągu pięciu tygodni zwiedziły ją 1773 osoby. Zacheceni frekwencją a również sympatycznymi wpisami w „księdze pamiątkowej świetlicy miejskiej”, postanowili plastycy nieprofesjonalni zorganizować drugą wystawę (połączoną z kiermaszem), której uroczystego otwarcia dokonał prezes TPSP w Nowym Sączu, mgr Antoni Sitek w obecności dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta i Gminy Stary Sącz mgr Haliny Drobiszewskiej i przewodniczącego Klubu Leonarda Wrzosa. W obecnej wystawie bierze udział dwunastu malarzy, czterech rzeźbiarzy oraz jedna ceramiczka — eksponując łącznie 122 prace.

Malarstwo reprezentują: Stanisława Gorzelani i Maria Harsdorf z Nowego Sącza, Józefa Kamińska ze Starego Sąc-

nowością przechodzi często na pozycje abstrakcjonizmu i kosmopolityzmu, o tyle twórczość nieprofesjonalna kontynuuje nasze wielkie malarstwo realistyczne XIX wieku, spełniając przy tym



ważną misję wychowawczą, patriotyczną, przez utrwalenie oczystego krajobrazu, zabytków architektury — piękna naszego górskiego regionu.

A. S.

„Nowy Sącz w starej fotografii”

...to tytuł wystawy, przygotowywanej na czerwiec 1982 roku przez muzeum okręgowe w Nowym Sączu.

W związku z tym dyrekcja muzeum zwraca się z prośbą do wszystkich instytucji i osób prywatnych, posiadających, archiwalne fotografie Nowego Sącza, bądź sprzęt fotograficzny z przedmu XIX i XX wieku — o wypożyczenie go dla potrzeb ekspozycji. Informacje w tej sprawie uprasza się kierować do muzeum okręgowego, ul. Lwowska 3, dział historyczny, tel.: 213-15 i 207-49.

Na wkus i cwięt tawariszcza niet — mawiała moja babunia, wychowanka rosyjskiego gimnazjum w Zgierzu. Dziadzio wołał używać formy „De gustibus non est disputandum” (przy gościach) albo „Są gusta i guściki” (przy domownikach). W czasach współczesnych przysłówie to wzbogaciło się o jeszcze jedną wersję: **NIE TO ŁADNE, CO ŁADNE, ALE CO STOI NA SŁUSZNYCH POZYCJACH.**

Chcąc obejrzeć wieczorny dziennik telewizyjny, włączyłem odbiornik i usiadłem sobie grzebiąc na kanapie. Najpierw była cisza, aparat się nagrzewał; potem coś chrząknęło, gwizdnęło, zamigotało, aż wreszcie na ekranie ukazał się czterdziestoparoletni grubasek w schludnym garniturku i białych kamazkach. Grubasek głośno śpiewał, raz po raz lyskając białkami oczu. Górna część ciała wykonywał ruchy ogromnie patetyczne i zaangażowane, dolną zaś — nieco frywolne. Z tekstu pieśni wynikało, że jest on człowiekiem odważnym aż do brawury, gorącym patriotą i ma szalone powodzenie u kobiet. Tak, słusznie się Państwo domyśliłi: była to transmisja Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu.

Przykuty do kanapki, oglądałem i słuchałem z rozdziawioną gębą. O rany, jakie to było obrzydliwe!

Piosenka żołnierska ma w polskich sercach miejsce szczególne. „Idzie żołnierz borem, lasem”, „Ulani, ulani”, „Oka”, „Czerwone maki”, „Marsz Mokotowa” i dziesiątki innych należą do alfabetu naszej edukacji, a tradycja wojskowa

Antoni Kroh

TRZY KLUCZY

jest jedną z najważniejszych dziedzin kultury polskiej. Lecz wszystkie te piosenki, które tak kochamy, łączy jedna bardzo ważna cecha wspólna: są szczerze, proste, prawdziwe i mają wartość autentyczną. „Oka” powstała nad Oką, a „Marsz Mokotowa” śpiewany był podczas Powstania na Mokotowie. „Jędrusiowa dola” — to piosenka oddziału Jędrusiów z Gór Świętokrzyskich, a „Pierwsza Brygada” — Pierwszej Brygady. „My ze spalonych wsi, my z głodujących miast” — śpiewali żołnierze Gwardii Ludowej, którzy do partyzantki trafiali ze spalonych wsi i z głodujących miast. Ich pieśń, pełna patosu, nie zawierała więc ani odrobiny fałszu.

A teraz retoryczne pytanie: czy można dzisiaj, w 1981 roku, napisać dobrą, szczerą, autentyczną piosenkę o bitwie pod Lenino lub o desancie na Arnhem? I — do cholery — po co, w jakim celu bawić się w taką narodową cepeliadę, po co uprawiać taki kicz? Czyżby autorów i wykonawców nie ostrzegł ich artystyczny instykt, że weszli... na minę? Że ich zabawa jest nieco paskudna?

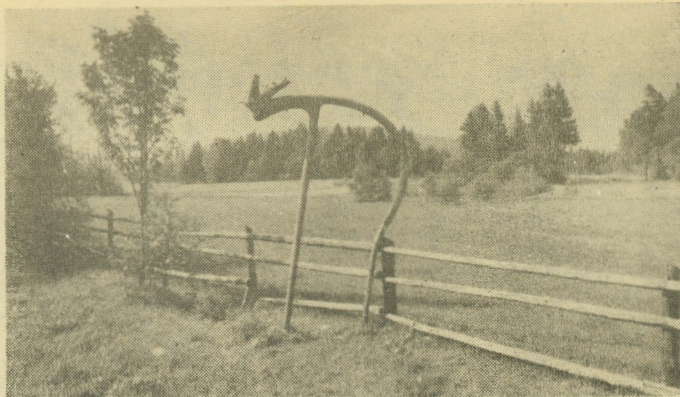
Współczesne piosenki wojskowe mogą być lepsze lub gorsze, mogą się podobać lub nie. Nie

próbuję narzucać nikomu swego gustu — zwłaszcza, że jest on dość starowiecki i nie wyrobiony. W porządku, na wkus i cwięt tawariszcza niet. Gdy jakiś baryton z towarzyszenia grupy wokalne „Meretrix” przekonuje słuchaczy, że marynarze odznaczają się dużą aktywnością seksualną — ich sprawa. Gdy w sposób sentymentalny, żartobliwy lub poważny, prawdziwy lub nieco podfarbowany nasi ofiarni artyści śpiewają o manewrach, defladach, akcji zniwnej, miłoskach i czyszczeniu broni — proszę uprzejmie, de gustibus. Ale gdy na scenę wchodzi młoda piosenkarka w polyskleiwej sukni i kręcąc pięcią oraz trzepocząc rzęсами zaczyna śpiewać tandetny, obstalowany na festiwal utworek o Wrześniu 1939 roku — rośnie mi klucha w gębie. Wyłączam telewizor.

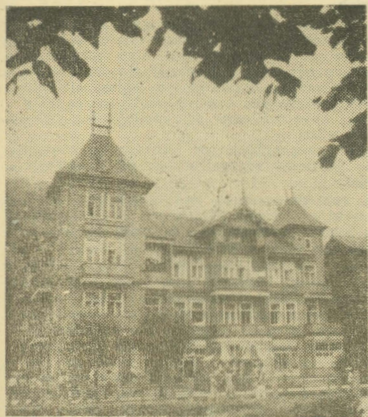
Tygodnik „Paorama” od wielu miesięcy prowadzi na ostatniej stronie cykl „Polskie stroje ludowe”. Duża, kolorowa fotografia przedstawia parę młodych ludzi, przebranych w chłopiejskie odzienie. Pod tym konturowa mapka Polski



Zamek w Niedzicy



Orawski pejzaż



Stara Krynica

Jerzy Masior

Twoje okolice

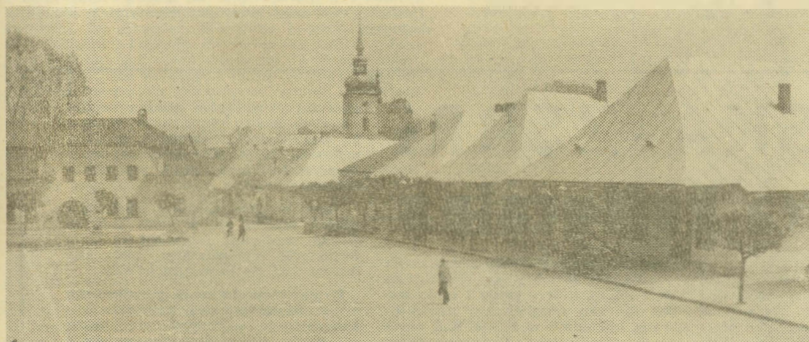
Czy to są tylko twoje okolice,
horyzont z lasu i powietrze twoje —
nawet gdy słowa podwoję, potróję,
muszę stąd odejść na zawsze i niczym.

Z naszej podróży, odszukań, powrotów,
z mojej nadziei i twego czuwania,
po raz ostatni zabraknie czekania,
a chłodnych godzin dawno jestem gotów.

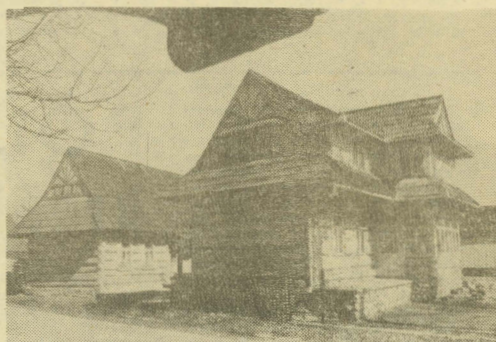
Spełnić się mogą twoje okolice,
z chmur poszarpanych i gwiazd obietnice,
twoim powietrzem wszystko zbłękitnieje.
Zegar wybijie ostatnie godziny
i światło zgaśnie nagle bez przyczyny —
coż ono znaczy, wszak nic się nie dzieje.



Ludwisarnia w Rożnowie



Rynek Starego Sącza



Chochołów

Zdjęcia STANISŁAW ŚMIERCIAK

W GĘBIE

z zaznaczeniem miejsca występowania stroju oraz krótki tekst objaśniający.

Oglądam, i rośnie mi klucha w gębie. W jednym z numerów „Panoramy” widzimy, cytując: „Strój górali ze Szlachtowej koło Szczawnicy”. Po czym tekst objaśniający, cytuję:

„Górali ze Szlachtowej wkładają zazwyczaj koszule, spodnice zw. kamańskami w prążki białoczerwone, wykonane z nici bawełnianych, nieodłącznym elementem tego stroju była też niebieska zapaska i płócienny gorset. Na wierzchu kobiety wkładały guńkę, tj. kurtkę sięgającą poniżej pasa, posiadającą charakterystyczne wyszczyca na brzegach, stójce i rękawach. Na głowie kobieta nosiła bogato haftowany czepek, który przykrywała częściowo lnianym rawnikiem — czymś w rodzaju szala, który był także zarzucały na ramiona i na ręce. Nogi obute były w kierpce.

Strój męski składał się ze spodni sukiennych i lnianej koszuli z małym kołnierzykiem. Zimą mężczyźni wkładali kozuch, sięgający prawie do wysokości ud, charakteryzujący się bardzo bogatymi aplikacjami z czerwonego safranu. Na

głowie mężczyźni nosili typowe góralskie kapelusze z wiązką czerwonej włóczki.”

Koniec cytatu.

Który to już raz widzę, jak sztuka ludowa służy do mydlenia oczu, jak strój ważniejszy jest od jego nosiciela... Otóż Państwo pozwola! literatura etnograficzna nie zna terminu „Górale ze Szlachtowej”, lecz „Rusini Szlachtowscy”. Zonwu ktoś nie mógł wydusić z siebie tego słowa... Zredaguję więc inny podpis pod zdjęciem z „Panoramy”, a Czytelnicy będą łaskawi ocenili sami, który z nich jest prawdziwszy, to znaczy mówi o sprawach ważniejszych.

„Rusini Szlachtowscy, których strój prezentujemy powyżej, zamieszkiwali cztery wsie, położone na wschód od Szczawnicy: Szlachtową, Jaworki, Czarną Wodę i Białą Wodę. Była to najdalej na zachód wysunięta grupa Łemków w Polsce, Otoczeni żywiołem polskim i stowackim, Rusini Szlachtowscy różnili się znacznie od Łemków nadpodpradkich i gorlickich — szczególnie w gwarze i stroju. Prowadzili oni intensywną gospodarkę hodowlaną z ciekawymi formami wypasu — jej pozostałości, to zachowane częściowo do dziś szalasy pod Eliaszkówką i Wysokimi Skalkami. Rusini Szlachtowscy byli również właścicielami przebity (obecnie znany węzeł szlaków turystycznych i schronisko PTTK).

W piemśnych latach powojennych Rusini Szlachtowscy podzielili los swych współbraci Łemków: wysiedleni z miejsc, gdzie zamieszkiwali od kilkuset lat, rozproszyli się po świecie. Zostały po nich cerkiewki w Szlachtowej i Ja-

workach, resztki budownictwa ludowego i nieliczne eksponaty, przechowywane w Muzeum Etnograficznym w Krakowie i innych kolekcjach. Wieś Biała Woda nie istnieje; w miejscu, gdzie przed trzydziestu pięciu laty stała zwarta zabudowa, obecnie jest rezerwat przyrody. O tragedii wysiedlonej ludności mówią jeszcze zdziczałe sady, zapadliny w miejscach dawnych piwnic i studni oraz zarastające miedze.”

Idę do sklepu po chleb, jak zwykle z książką pod pachą. Czytam właśnie nową biografię Jarosława Haszka, świeżo przyslaną z Pragi. Posuwam się machinalnie. Wreszcie laps! — koszyk w rękę i do drugiej kolejki, po chleb. Biorę trzy bochenki i stoję w trzeciej kolejce, do kasy. Pani kasjerka wyjmuję mi jeden bochenek z koszyka.

— Czego się zachciewa! A dwa, to nie laska? Rośnie mi klucha w gębie, ale staram się mówić spokojnie:

— Mam dwoje dzieci.

— To trzeba było nie mieć, ja nie jestem temu winna.

Ktoś za mną śmieje się, dogaduje. Robi mi się ciemno w oczach. Placę za dwa bochenki, wychodzę ze sklepu. Wchodzę drugimi drzwiami. Jeszcze raz kolejka. Laps! — koszyk w rękę i po chleb. Potem trzecia kolejka — do kasy. Placę, chowam trzeci bochenek. Ale podczas drugiej tury już książki nie byłem w stanie

cz. 1-4

Ropa: historia i dzień dzisiejszy

Wieś Ropa nad rzeką o tej samej nazwie, przy szosie z Gorlic do Grybowa jest pięknie położona między górą Chełm od zachodu, a Łysą Górą i Suchym Wierchem na wschodzie. Od północy osłania ją grzebień Małsanej Góry, wznoszący się bezpośrednio nad Szymbarkiem. Na południe od wsi dolina rzeki Ropy tworzy piękny przełom między Kiczera Złazarem a Czerleżkami. Przy jego wejściu leży wieś Klimkówka, przy wyjściu z przełomu — wieś Łosie. Ten fragment doliny z otaczającymi górami jest popularnie nazywany „Pieninami Gorlickimi”. Aktualnie trwają tu prace nad zapórą na rzece i wysiedlana jest wieś Klimkówka, którą przeznaczono pod zalew.

Wieś Ropa znana już było w XIV i XV wieku jako własność rycerskiego rodu Gładyszów, po których do dziś pozostał renesansowy dwór obronny w Szymbarku. Parafia rzymsko-katolicka powstała tu w drugiej połowie XV wieku, od 1595 roku istnieje tu szkoła parafialna.

Jan Paweł Woroniec (1757—1829), poeta, arcybiskup warszawski, prymas Polski zafascynowany krajobrazem wsi Ropa napisał następujący wiersz:

Ropa jakież to piękne miejsce, aż popatrzyć miło,
Jakby się do pasterskich zabaw urodziło.
Nie tyle w arkadyjskich powabów krainie,
Ni w owej sławnej Tempów rozkosznej dolinie.

Ille tu niezmuszone przyrodzenie bawi,
A trzoda i pasterczom tysiąc ponęt stawi.

Od niepamiętnych czasów dorzecze Ropy było znane z obfitych źródeł i wycieków ropy naftowej, zwanej na początku olejem skalnym. Od ropy wzięły nazwy miejscowości. Ropa, Ropica, Ropki, Ropczyce i rzeka Ropa. Ludność miejscowa posługiwała się ropą naftową jako skutecznym środkiem leczniczym na różnego rodzaju choroby. Produktów ropnych, tj. mazi używano do smarowania osi kół u wozów oraz w młynach, tartakach, foluszach, maglach i hamerniach. Ropy naftowej używano także do wyprawy skór. W 1530 roku Seweryn Boner, podskarbi króla Zygmunta Starożytnego, szukając złota we wsi Ropa, pod górą Chełmem, natknął się na ropę naftową, która załamała mu kopalnię.

Eweryst Kuropatnicki w pracy „Geographia albo dokładne opisanie Królestwa Galicji i Lodomeryi” z 1786 r. podaje nadto, że w Ropie „ma się znajdować ruda żelazna, minery złote i różne kamienie”.

Po Gładyszach zmieniali się często właściciele Ropy. Brzeńscy w XVI w. i Buczyńscy w XVII w. Na przełomie XVIII i XIX wieku Ropę nabył Stanisław Wilhelm Siemiński, który tu wy-

budował piękny pałac, założył park i zakłady garbarskie.

Warto w tym miejscu wspomnieć o zatargu, jaki miał miejsce w 1647 roku między znanym poetą, Wacławem Potockim, a dzierżawcą Ropy, Felicianem Kochowskim. Obszerny opis sporu znajduje się w pracy „Wacław z Potoka Potocki, nowe szczegóły do żywota poety” (red. J. Czubek, Kraków, 1894 r.): *Dwa panie, Zygmunt ze Szczekarczewicz i Jan z Teżyna wojewodzie lubelski, Tarlowie nie wiadomo z jakiego powodu napadli na wieś W. Potockiego Łosie z hurmą ludzi, zniszczyli zasiewy i łaki i narobili szkody na 250 korcy. Rozpoczął się przewlekły proces, którego nie mogą się doczekać, krewni nasz poeta oddaje piękny za nadobne. Bo kiedy Felician Kochowski, dzierżawca Ropy (własność Zygmunta ze Szczeka-*



rzewie Tarły) wyjechał z wozami po siano, wtedy Wacław Potocki, poddanych swoich włości Łosie, iłu ich było, tak soltysów, kmieci, zagrodników, wyrobników, jako też służbę, parobków, rozkazawszy im (tj. parobkom) uderzyć we dzwony przy cerkwi ruskiej w teże wsi Łosie będącej, poruszył i podburzył, którzy wskutek jego rozkazu i polecenia w wielką kupę się zbłąszy z fuzjami, z kosami do walki urządzeni, dzidami, dobrymi mieczami, strzelbami, siekierami różnego gatunku, prostymi i dłuższymi, i z inną bronią liczną prawie zakazaną, a do zadawania wszelkiego gwałtu sposobną, na też wozy i robotników, siano na wozy włożone wiozących, hurmą napadli, łżyli, grozili itp. Nadto też wozy razem z kołmi siłą i gwałtem odebrali i do teże wsi Łosie z siannem wprowadzili.

Ropę odwiedził też inny polski znakomity poeta, Stanisław Wyspiański. W „Tece grona konserwatorów Galicji Zachodniej” znajdujemy szkic Wyspiańskiego ilustrujący baldachim procesyjny w kształcie parasola z kościoła parafialnego w Ropie.

W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” wydanym pod red. Bronisława Chlebowskiego, Zeszyt 97 Tom IX, rok wydania 1888 na str. 739 znajdujemy ciekawą informację, że „Ropa wraz z obszarem większym liczy 409 domów mieszkalnych i 2399 mieszkańców; 2260 wyznania rzymsko-katolickiego, 8 grekokatolickiego, 2 angikańskiego wyznania i 129 wyznania izraelskiego; pod względem narodowości: 2250 Polaków, 2 Anglików, 9 Rusinów i 139 Niemców”.

Kronika szkolna prowadzona od 1866 roku również zawiera sporo ciekawych informacji. Oto niektóre z nich:

1912 r. W tym roku w sierpniu wybuchła w tuł, gminie epidemia szkarlatyny. Ponieważ choroba ta nie wygasała przed rozpoczęciem roku szkolnego, przeto lekarz powiatowy zamknął tuł. szkołę do dnia 7 października. Z powyższym dniem otwarto szkołę, ale frekwencja była b. słaba przez cały październik, gdyż epidemia gasowała dalej, zbierając wiele ofiar.

W r. 1918 przez październik i listopad panowała w gminie influenza zwana „hiszpanką” zbierając liczne ofiary.

W roku 1921 panowała w gminie epidemia czerwonki, na którą zmarło 18 osób, w tym 6 dzieci w wieku szkolnym. Z powodu tej epidemii szkoła była zamknięta przez miesiąc wrzesień.

Dziś Ropa jest dużą i gospodarną wsią. Posiada nowoczesną szkołę, obszerny dom handlowy, nowy ośrodek zdrowia, zakład mleczarski, urząd pocztowy. Ładne położenie, bliskość rzeki i okoliczne góry stwarzają warunki dogodne dla wypoczynku, podczas którego warto zwiedzić zespół podworski otoczony resztkami parku: dawny dwór (w stadium restauracji) — obszerny parterowy budynek barokowo-klasycystyczny, od frontu ozdobiony sześciokolumnowym portykiem, lamus i dwie oficyny; kościół z XVII wieku, (w którym znajduje się m. in. rzeźby Antoniego Hybla), obok kościoła pomnik Zwycięstwa pod Grunwaldem z 1910 r., cmentarz parafialny z grobami żołnierzy z I wojny światowej, a na Chełmie od strony Ropy tzw. „Urwiska” — duże uświetlo obrzymich bleków skalnych.

POLSKA-ZSRR: kronika kulturalna

Jako tłumacz literatury polskiej Jazep Osmanis zdobył rozgłos w roku 1964; wtedy właśnie ukazał się jego przekład „Pana Tadeusza” na język lotewski. Książka bliskawiczejnikła z księgarskich półek. Ogromne zainteresowanie czytelników jest całkowicie zrozumiałe; do tychczas bowiem znane były na Łotwie tylko fragmenty tego utworu (około 300 wersów, Osmanis zaś dokonał przekładu całości 10 tys. wersów).

Obecnie Osmanis jest już autorem kilkudziesięciu przekładów z literatury polskiej. W jego dorobku znajdują się m. in. utwory Jarosława Iwaszkiewicza, Agnieszki Osieckiej, Zdzisława Skowrońskiego, Krzysztofa Cholewickiego, Jerzego Przędzkiego i in. prozaików, poetów i dramatopisarzy.

Przez dwa miesiące polski zespół rockowy „Budka Suflera” wędrował po Związku Radzieckim. Trasa — od Morza Kaspijskiego do Bałtyku przebiegała m. in. przez Astrachań, Wolgograd, Jarosław, Władimir, Kaliningrad. Szesnastym i ostatnim — miastem podczas tournée był Leningrad.

Występy zespołu spotkały się wszędzie z życzliwym przyjęciem. Reper-

tuar, zawierający szereg popularnych przebiegów, podobal się słuchaczom radzieckim, którzy zajął i cenią naszą muzykę rozrywkową, prezentowaną uprzednio w Kraju Rad przez takie zespoły jak: „Czerwone Gitary”, „Andrzej i Eliza” czy „Skaldowie”.

Według ankiety przeprowadzonej w Armenii, jednym z najbardziej

poczytnych utworów pisarzy zagranicznych jest tu „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Powieść ta, przetłumaczona na język ormiański przez Stepana Lisiejana, miała już kilkadziesiąt wydań.

Autor przekładu, znany ormiański literat, urodził się w roku 1865 w Gruzji, studiował natomiast na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zainteresował się literaturą polską.

Po powrocie do kraju poświęcił się pracy dziennikarskiej, następnie pedagogicznej; zajmował się także etnografią. Największy rozgłos przyniosła mu jednak praca translatorska. Dzięki niemu kilka pokoleń czytelników poznało utwory pisarzy polskich.

(APN)

Falszerstwo

Amerykańska dziennikarka, Clair Sterling mieszkająca już od 30 lat we Włoszech, okazała się znacznie silniejsza niż CIA, FBI i amerykański wywiad wojskowy razem wzięte. Wszystkie te trzy instytucje nie zdołały potwierdzić zrzutów sekretarza stanu USA, Aleksandra Haiga, o współpracy międzynarodowego terroryzmu ze Związkiem Radzieckim. CIA przekopala wszystko, zaprosiła do współpracy nawet Interpol, ale żadnych powiązań terrorystów ze Związkiem Radzieckim nie udało się znaleźć. Dyrektor CIA odrzucił przedstawione mu w marcu sprawozdanie swoich pracowników i zwró-

cił się z prośbą o pomoc do ministerstwa obrony. I tu również się nie powiodło. Dyrektor FBI oświadczył, że „nie dysponuje żadnymi realnymi dowodami”. Obecnie kończy się analiza tematu i „New York Times” napisał, powołując się na wysoko postawione osobistości, że znajduje się w niej stwierdzenie, iż ZSRR nie szkoli i nie wyposaża europejskich organizacji terrorystycznych — „Czerwonych Brygad” i „Frakcji Czerwonej Armii” — oraz że w ogóle nie ma w planach rozprzestrzeniania terroryzmu na całym świecie.

I nagle ukazała się książka C. Sterling „Sieć terroryzmu”. Wydano ją nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale również i w innych krajach Europy Zachodniej.

Teza autorki: Związek Radziecki pragnie „osłabić, zdemoralizować, skre-

pować, skomplikować, sparaliżować i — jeśli się uda — zdemontować zachodnie demokratyczne społeczeństwo”.

Książka podzielona jest na odrębne rozdziały poświęcone międzynarodowemu awanturnikom, a także ultralewicowemu organizmowi oraz Organizacji Wyzwolenia Palestyny, IRA, separatystom baskijskim w Hiszpanii i terrorystom w Turcji. Autorka, sprzedawcając wszystkie te ugrupowania do wspólnego mianownika stara się znaleźć nic wiodącą do Moskwy. Niestety, jest to dzieło beznadziejne. Sterling odwołuje się do bezimiennych informatorów, niesprawdzonych informacji gazetowych oraz przepisuje produkt amerykańskiej propagandy — książkę J. Berrona „KGB”.

Przytoczyć tylko jeden przykład. Autorka cytuje amerykańskiego dziennikarza, który pisał, że włoscy terro-

ryści odwiedzili czechosłowacki kurort Karlove Vary, gdzie znajduje się redakcja „międzynarodowego pisma komunistycznego” — „Problemy Pokoju i Socjalizmu”.

Po pierwsze — do kurortów przyjeżdżają różni ludzie, co niczego nie dowodzi, po drugie — redakcja wspomnianego pisma znajduje się w Pradze i po trzecie — powołanie się na artykuł z gazety, którego autor sam przyznaje, iż powtarza tylko pogłoski, również nie jest żadnym dowodem.

W związku z niedawnym zatrzymaniem przez terrorystów zakładników w Barcelonie, trzeba przytoczyć oświadczenie prezidenta Agencji Informacyjnej „Europa Press” — Jose Mari Armero, które brzmiało: *Zadziwla mnie lekkość z jaką niektórzy odpowiedzialni działacze państwowy i polityczni rzucają oskarżenia, iż za hiszpańskimi terrorystami stoi Związek Radziecki. Hiszpańscy politycy po prostu nie chcą zrozumieć przyczyn terroryzmu w tym kraju, który ma wyłącznie narodowy charakter”*

GIENNADIJ GIERASIMOW (APN)

We wrześniu ubiegłego roku minęło siedemdziesiąt lat od momentu założenia w Nowym Sączu Komunikacyjnego Klubu Sportowego „Sandecja”. Tak długim stażem może poszczycić się niewiele klubów w Polsce (np. „Ruch” Chorzów ma 61 lat, „Legia” — 65, „Polonia” Warszawa — 66). Na początkowych stronach krakowskiego pisma „Nowości Ilustrowane” z 30 września 1911 roku odnajdujemy jedno z pierwszych potwierdzeń daty narodzin klubu:

„Za przykładem Luowa i Krakowa założono w pięknym podgórskim mieście Nowym Sączu kilka klubów sportowych, uprawiających piłkę nożną, z których najwybitniejszym są Sandecja i Grunwald. Sandecja istniejąca od roku składa się z młodzieży akademickiej i rekrutelskiej.”

Założycielem i duszą klubu był naczelnik „Sokoła” Bieda. Rok później w formalnych wyborach funkcję prezesa otrzymał i sprawował przez cztery lata Józef Damze. Trenowało się w owym czasie na „Jordanówce”, a grywało na błoniach przy obecnej ulicy II Listopada. Wybuch pierwszej wojny światowej pokrzyżował ambitne plany, a zawodnicy i działacze znaleźli się w Legionach, bądź w c.k. armii austro-węgierskiej.

Życie sportowe powróciło do Nowego Sącza wraz z zakończeniem wojny. Na nowo sądczanie emocjonowali się świętą wojną „Sandecji” i „Grunwaldu”, w którego barwach występowali bracia Cysaniewiczowie — Zbyszek i Stanisław, znani zapamiętani, których sława niosła się północną daleką po kontynentach. Nie byli to dla piłkarzy „Sandecji” okres najlepszy. Wielu z jej wychowanków nie wróciło do macierzystego klubu; dlatego trudno się dziwić, że przeżywał on chude lata.

W tych najtrudniejszych chwilach znalazł się człowiek, który postawił „Sandecję” na nogi: Jan P. Pardoński, niestrudzony organizator i miłośnik kultury fizycznej. Z jego inicjatywy powstaje w okolicach obecnej ulicy Sienkiewicza stadion piłkarski z kasa biletowa i rozbiórka w dzisiejszej piekarni WSS. Jak wspomina Julian Zubeł, były zawodnik „Sandecji”, był to na owe czasy obiekt nowoczesny, z krytą trybuną, urządzeniami do lekkoatletyki, boiskami do siatkówki i koszykówki. Nic z tego jednak nie przetrwało; okupanci wybudowali tam magazyny wojskowe.

Julian Zubeł w latach 1930—1934 grał w „Sandecji” na środku pomocy (później w „Strzeliu” i „Polonii” W-wa).

— Najcenniejsze co nam dała „Sandecja” — opowiada legendarny „Tatar” — oprócz, oczywiście, tęczy fizycznej i kociej sprawności — to wychowanie patriotyczne. Dziewięćdziesiąt procent piłkarzy i narciarzy „biało-czarnych” podjęło później walkę z hitlerowcami, w partyzancie lub w konspiracji. W moim oddziale znaleźli się koleżdy z boiska: Zbigniew Rys, Tadeusz Sokolowski, bracia Ciastoniowie i Świerczkowie. Członkom sekcji narciarskiej przywodziła się znajomość gór i lasów, umiejętność poruszania się w najtrudniejszych warunkach. Jan Freisler, Stanisław Kopacz, Franciszek Krzyżak, Leopold Kwiatkowski (trener), Roman Stramka bez obaw wyszli na kurlerskie szlaki. Nie wszyscy koleżdy z klubu przeżyli. Adasia Świerzbza zastrzelili Niemcy za pomoc udzielaną Żydom, Genek Para poległ pod Monte Cassino, Samuela Kipla zamordowano w Oświęcimiu.

Były piłkarz, Władysław Holyst, dziś przewodniczący nowosądeckiej MRN mówi: — Gdyby nie solidne zaprawy fizyczne, na przemian gorące i zimne prysznicie w łaźni w barakach na Kolejowej — chyba nie wróciłbym z obozu koncentracyjnego. Jak inni zapadłbym na zabójcze zapalenie płuc.

Kolejowy Klub Przysposobienia Wojskowego „Sandecja” (taka nazwa obowiązywała do 1939 roku) był klubem całkowicie społecznym. Władysław Holyst, wieloletni sędzia i kwalifikator piłkarski stwierdza: — Sami praliśmy kostiumy i porządkowaliśmy boisko. Gorzej było ze sportowym ubiorem. Niecentymi jednak okazywał się gospodarz stadionu, Ziemiński, szewc z zawodu, który czerpnął przed meczem repertuaru buty. Nie było diet, premiów, na dalsze wyjazdy zabieraliśmy własny prowiant. Od klubu otrzymywaliśmy tylko herbate albo kochalimy „Sandecji”. Przypominam sobie mecz z krakowską drużyną Makabi. Wyjechaliśmy nocnym pociągiem, gdyż przebiegli organizatorzy wyznaczili spotkanie nazajutrz na godzinę dziesiątą. Walczyliśmy jak lwy. Ale stało się. Marian Dudek pechowo skłócił i przegraliśmy 1:0. Razem z nim pokłaliśmy jak bobry. Nie widzę, aby dziś piłkarze tak reagowali i jakoś specjalnie przejmowali się porażkami.

W przedmiu wybuchu drugiej wojny światowej wrócono na zapomniane błonie, które później okupant zewastował i boisko po prostu likwidował. Ale już w lutym 1945 roku w mieszkaniu Klemensa Jaszkańca zebrała się grupa ludzi stawiających sobie za cel reaktywowanie ukochanej, kolejańskiej „Sandecji”. Byli to między innymi: Bronisław Jurkowski, Władysław Nosal, Mieczysław Uckiewicz i Adolf Zydza. Za pierwszoplanowe zadanie uznali odnowienie silnie zniszczonego boiska szkolnego przy ulicy Morawskiego.

W powojennych latach działało się w „Sandecji” wiele dobrego, były sukcesy, choć nie brakowało też porażek; zawsze jednak klub jako tako prosperował a jego zawodnicy dostarczali kibicom wielu emocji. Starsi pamiętają zapewne bramki zdobywane przez Zygmunta Zabeckiego, popularnego „czap”, parady bramkarskie Wiesława Spiegła, wysokie skoki o tyczce Leszka Butschera czy zarżarte pojedynki hokeistów ze sławnym rywalem — Krynickim Towarzystwem Hokejowym. Wypada przypomnieć, że w latach pięćdziesiątych w Nowym Sączu rywalizowały ze sobą cztery (!) sekcje hokejowe: „Beskidu”, „Dunajca”, „Sandecji”, i „Startu”. Eł iza się w oku kręci.

Z inicjatywy Ryszarda Gurbowicza przeprowadza-

żano tak zwane czwartki lekkoatletyczne, które cieszyły się ogromną popularnością. Obok zawodników w poszczególnych konkurencjach mogli startować amatorzy, którzy niejednokrotnie zaskakiwali z trybuny, wciągali sportowe dresy i stawali na bieżni i rzutni.

Aktualnie „Sandecja” znajduje się w sytuacji krytycznej. O tym wie każdy, a trybuny zioną puszkami. Brakuje pieniędzy i ściśle określonych zasad finansowania. Sympatycy klubu z niepokojem zastanawiają się: czy „Sandecję” można uratować i w jaki sposób?

Kolejarska brać w Nowym Sączu nigdy nie odżegnywała się od wspierania klubu i świadczeń finansowych. W „epoce przedtelewizyjnej” niedzielne spacerowanie na stadion były nieodłącznym elementem spędzania wolnego czasu. „Sandecja” była

część do „Arki” Gdynia), Bogusław Szczecina (aktualnie w „Słasku” Wałcz), wspomniany już Lesław Partynski i Andrzej Łatwa, rewelacja tegorocznych i Mistrzów Europy juniorów w RFN. Od przyszłego sezonu Łatwa zagra prawdopodobnie w 1-ligowej „Stali” Mielec.

Pośród znanych piłkarzy odnajdujemy nazwiska Romana Hliwy (później w „Legii” obok Brychczego i Gmocha oraz w ŁKS), Stanisława Buckiego, który do dziś, mimo czterdziści, występuje z powodzeniem w „Unii” Niedomicze, Andrzeja Kuźmy (obecnie w BKS Bielsko), Bronisława Bartkowskiego („Stal” Stalowa Wola), Henryka „Felka” Urańskiego (zakończył karierę w drugoligowej wtedy „Unii” Tarnów).

Długo przed sierpniowym przełomem wiele kontrowersji wzbudzała sprawa zatrudniania sportow-

JERZY LEŚNIAK DANIEL WEIMER

Co dalej z „SANDECJĄ”?



Piłkarze „Sandecji” i „Grunwaldu” w roku 1911. Repr. JOANNA GAJDA

wówczas klubem robotniczym, ale jednocześnie otwartym, ogólnolejańskim. Piłkarzy chwalono lub też na nich piszono w domu przy obiedzie i przy stanowiskach pracy. Ale współczesna piłka nożna zmieniała swoje oblicze. Dziś robotnicy chcą mieć sytuację czystą; chcą wiedzieć, co się dzieje z ich pieniędzmi. Chcieliby oglądać zawodników nie tylko w kolejkę do kasy. Oto, co na ten temat mówią pracownicy ZNTK, które sprawują główny patronat nad klubem:

— Przez jakiś czas sam grałem w „Sandecji” i twierdzę, że piłkarzom powinno się płacić za ich wysiłek, ale niech by przynajmniej chcieli się im grać. „Sandecja” od dawna powinna być w II lidze. Pytam się: kto pozwala na odhodowanie z klubu tak wielu dobrych zawodników? Młodemu województwu potrzebny jest dobry, silny klub. Dlaczego nie miałyby być nim „Sandecja”? (Ryszard Giza).

— Zlikwidować „Sandecję”? Po co mają grać na tak znikomym poziomie? Darmozjad! Dlaczego na siłę chce się nas uszczęśliwić klubem piłkarskim? Przecież nigdzie nie jest napisane, że „Sandecja” musi być w jakiegokolwiek lidze (wypowiódz anoniemowa).

— Zawodnicy powinni starać się o pozyskanie zaufania kibiców. Kaniczne jest więc podniesienie morale piłkarzy. Należy wykluczyć sytuację, że zawodnikom płaci się za nic. (Antoni Fesko).

W klubie poczyniono na gwalt oszczędności. Liczba pracowniczych etatów ograniczono do czterech. Kłopoty finansowe zawsze towarzyszyły „Sandecji”, nie były wszak tak dramatyczne, jak obecnie. Funkcjonują jedynie trzy sekcje: piłkarska, siatkarska i szachowa. Piłkarze formalnie (w chwili, gdy oddajemy numer do druku nie znamy jeszcze ustaleń przewidzianej reorganizacji lig) zostali zdegradowani do ligi międzyokregowej; siatkarki dzielnie walczą w lidze międzywojewódzkiej z dużymi szansami na awans do II ligi; szachści z korespondencyjnym mistrzem Europy, Jerzym Krzysztoniem, jak zwykle trzymają się na ubożu.

Gdzie więc szukać przyczyn stagnacji? Czyż taki musi być los małych „ubów”? Wydawałoby się, że dzienne, że drużyna, która wychowała tak wielu dobrych piłkarzy, nie potrafiła przebić się poza regionalne oplotki. Trudno jednak się dziwić, że rokrocznie „Sandecja” traci najlepszych piłkarzy, którzy odchodzą do zamożniejszych klubów, gdzie oferuje im się lepsze warunki materialne, na przykład mieszkania. W grę wchodzi także argumenty szkoleniowe. W 1979 roku odszedł z Nowego Sącza do „Radomiaka” reprezentant narodowej kadry juniorów, Lesław Partynski. Trener kadry ostrzegwał wprost, że jeśli nie będzie grać co najmniej w II lidze, to może pożegnają się z reprezentacją.

Działacze „Sandecji” szczerze, choć nie bez żalu, podkreślają, że najważniejszym celem małego klubu jest wychowywanie i przekazywanie do klas wyższych szczególnie uzdolnionych piłkarzy.

Sukcesami klubu stają się więc momenty, w których jego wychowankowie ubierają reprezentacyjne koszulki z białym orłem. W kadrze juniorów z powodzeniem występował: Jerzy Zawisła (pre-

zacji na tak zwanych „lewych” etatach. Wyjaśnia tę kwestię prezes klubu, Alojzy Oracz: — Kadra zawodników pierwszej drużyny od lipca ubiegłego roku zatrudniona jest w Zakładach na dniecu. Pobierając wynagrodzenie, faktycznie nie pracują (trudno bowiem nazwać pracą dwu lub trzygodzinną pobyt w Zakładach). Z czego to wynika? Piłkarze trenują średnio dziesięć razy w tygodniu. Taki stan rzeczy nie pozwala połączyć pracy zawodowej z reżimem treningowym.

Podobne stanowisko zajęła zakładowa „Solidarność”, stawiając jednak piłkarzom warunek lepszej gry.

Praca Wacława Stawarza, absolwenta krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego, jednego z najmłodszych trenerów piłkarskich w kraju (26 lat) nie jest łatwa. Możliwość manewru kadrowego są niewielkie, zawodników dobrej klasy po prostu brakuje. W tych warunkach Wacław Stawarz nie miał zbyt wielkich szans, aby pokazać kibicom, na co stać kolejańską drużynę. Owszem, wybrał zawodników, mobilizował jak mógł do gry, stworzył kolejańską atmosferę pracy. No cóż, nie wyszło.

— Czasami bywają takie sezony — mówi Stawarz — że nie się nie udaje. W tak silnej lidze była „Sandecja” tylko raz, w 1968 roku. Co z tego, że zdarzało się nam pokazać niezłą grę, jeśli o tego punktów nie przybywało. Nie, nie jestem zatamany. Chciałbym jeszcze w „Sandecji” popracować. Musimy oprzeć się na młodszych piłkarzach, jeszcze niedoświadczonych, ale uzdolnionych. Z czasem nabiorą oni przekonania o swojej wartości, podbudują się psychicznie i przystosują do twardej gry. Wspólnie z zarządem klubu liczę na przychylność władz miejskich, zwłaszcza że prezydent Bolesław Basiński, były bramkarz „Startu” i sędzia piłkarski jest naszym wiernym kibicem. Obciążenia patronatu winny spadać nie tylko na barki ZNTK, ale również na inne nowosądeckie przedsiębiorstwa.

Zgadamy się z Wacławem Stawarzem, że nie ma potrzeby ściągania zawodników z innych miast, bo „Sandecja” zawsze dobrze prowadziła pracę szkoleniową z młodzieżą piłkarską, by wspomnieć choćby o dojściu do szerokiego finału mistrzostw kraju przez juniorów tego klubu. Trener drużyny juniorów, Wiesław Spiegel, twierdzi jednak, że z roku na rok coraz gęściej jest z naborem młodych talentów: — Młodzież staje się coraz bardziej wygodna, woli chodzić na dyskoteki niż ciężko harować na treningach. Tym bardziej należy więc cenić poświęcenie tych, którzy bez żadnych bodźców materialnych grają i trenują. Liczę szczególnie na chłopców z rocznika 1965. Z przychylnością muszę stwierdzić, że działacze klubowi o juniorach nie pamiętają. Ich oczekiem w głowie jest pierwsza drużyna.

Co dalej z „Sandecją”?

Przeciw bezsenności

Sen jest potrzebny człowiekowi do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Pozwala na odnowę zasobów jego energii i przywraca zdolność do pracy wszystkim narządom. Podczas snu zachodzą skomplikowane procesy hamowania, które bronią komórki mózgu przed wyniszczeniem. Przesypiany zazwyczaj jedną trzecią naszego życia. Ale nie wszyscy. Są bowiem jednostki, którym wystarczą cztery godziny snu na dobę. Wiele osób cierpi na zaburzenia snu lub nawet na całkowity jego brak.

Zaburzenia snu mogą przejawiać się np. w kłopotach z zasypianiem. Wielogodzinne czekanie na sen spotykane jest nawet u ludzi zupełnie zdrowych, zwykle w stanach dużego napięcia emocjonalnego. Lub po nadużyciu kawy i herbaty, częściej jednak towarzyszy niektórym chorobom, np. nerwicom, stanom depresyjnym. Na zaburzenia snu nocnego skarżą się również ludzie zdrowi — budzą się w nocy, mają trudności w ponownym zasypianiu, sen ich jest płytki, czujny. Wczesne budzenie oraz niemożność ponownego uśnięcia po przedwczesnym obudzeniu lekarze uważają za objaw w miarę normalny u ludzi w podeszłym wieku; potrzebują oni znacznie mniej snu. Natomiast u ludzi w sile wieku jest to symptom wskazujący na anomalie zdrowotne.

Bardziej uciążliwym zjawiskiem jest całkowity brak snu, obserwowany głównie w schorzeniach organicznych, psychozach endogennych, podczas zatruc ostrych i przewlekłych.

Wymienione postacie zaburzeń snu są przyczyną wielu umiennych reakcji zachodzących w naszym organizmie. Dłuższe niesypianie doprowadza do zmęczenia organizmu, do spowolnienia i nieprecyzyjności myślenia, obniżenia świadomości w postaci przemyślenia. Chorzy cierpiący na bezsenność zwykle mają wydłużone w czasie reakcje na bodźce zewnętrzne, nie są zdolni do większego wysiłku intelektualnego.

Leczenie bezsenności jest procesem trudnym i długotrwałym. Zażycie środków chemicznych uspokajających i nasennych w skrajnych przypadkach

bywa pomocne, ale niejednokrotnie może nieść za sobą ujemne działanie uboczne, zatem w postępowaniu się nimi trzeba zachować daleko idący umiar i ostrożność. Lepsze efekty może przynieść stosowanie preparatów ziołowych, np. mieszanek Nervosan, zawierającej kłącza kozłka lekarskiego, kwiat rumianku, ziele krwawnicy, mięty, liść melisy; kropli Neocardiny; granulatu Nervogran; płynów Neopasmina i Nervosol; syropu Passiasmin. Środki te są dostępne w handlu. Ziołolodzy zalecają również stosowanie mieszanek sporządzanych sposobem domowym:

1) mieszaneczka zawierająca korzeń kozłka, liście bobrka, liście mięty: — czubatą łyżkę ziół zalewamy 2 szklanekami wrzątku i trzymamy pod przykryciem od 10 do 15 minut. Pijemy 1—2 szklanki dziennie.

— **kozłek** — waleriana jako lek uspakajający był stosowany przez lekarzy włościańskich już w XVII wieku. Występuje w Polsce dzięki oraz jest uprawiany. Można go spotkać na błotnistych łąkach, nad brzegami rzek i w wilgotnych zaroślach. Kwiaty ma drobne, białe lub różowe. Korzenie będące surowcem zielarskim należy zbierać jesienią. Po dokładnym wymyciu korzeń kroci się wzdłuż i suszy początkowo na powietrzu, później w podwyższonej temperaturze. W korzeniu są zawarte kwasy organiczne, olejek eteryczny, alkohole i inne substancje. Kozłek po wysuszeniu wydziela ułubiony przez koty zapach, stąd też surowiec należy przed nim chronić.

— **bobrek** — w stanie dzikim występuje na mokrych łąkach oraz nad brzegami wód, ma skórzaste, ciemnozielone, potrójne liście, które są surowcem zio-

larskim. Ze względu na rzadkie występowanie poleca się zaopatrywanie w surowiec w sklepach zielarskich. Tylko w miejscach, gdzie występuje masowo, można dekonsumować zbiór dwukrotnie w ciągu roku — pierwszy raz w maju i w czerwcu, drugi pod koniec lata, gdy odrastają nowe liście. Podstawowymi składnikami liści są gorycze, glikozydy, garbniki, saponiny, prowitamina A i witamina C.

— **mięta** — do celów leczniczych używa się tylko miętę pieprzową, zwykle hodowaną. Mięta dziko rosnąca ma smak liści szczypiący, w odróżnieniu od mięt pieprzowej o smaku chłodzącym. Głównym składnikiem liści mięt jest olejek eteryczny, oprócz niego występują garbniki, gorycze i kwasy organiczne.

2) kwiat lawendy, pierwiosnka, dzianwan i ziele tymianku. Ziela debieramy według proporcji — 3:3:3:3. Kwiat lawendy i pierwiosnka kupujemy w sklepach zielarskich.

— **lawenda** pochodzi z uprawy, jest półkrzewem do 60 cm wysokości, o liściach drobnych i lancetowatych oraz fioletowych kwiatkach. W surowcu znajduje się olejek lotny, garbniki, antyjeniany.

— **pierwiosnek lekarski** jest rośliną chronioną, występuje na polanach leśnych, słonecznych wzgórzach. Kwiat zawiera saponiny, glikozydy, flawony, karotenoidy i witaminę C.

Opis drzewiasty dokonaliśmy w artykule omawiającym stosowanie ziół przy grypie.

— **tymianek** — macierzanka, krzewinka 5-15 cm wysoka o swoistym mocnym zapachu i szczypliwym smaku, rośnie na miedzach, leśnych polanach,

wyrbach, w suchych rowach. Bywa też uprawiany. Lodyga tymianku jest niska, rozestana, owłosiona, szara, liście drobne eliptyczne, z brzegami podwiniętymi do góry, kwiaty różowofioletowe zebrane na szczytce łodyżek. Surowcem leczniczym jest ziele, które zbiera się na początku kwitnienia, ścinając 5 cm ponad ziemią tak, by nie uszkodzić korzenia. Olejek lotny zawiera tymol, linalol, terpinol, borneol, cineol. Oprócz bogatego w składniki olejku, ziele tymianku zawiera garbniki, kwasy, flawonoidy i sole mineralne.

3) mieszaniki składające się z ziela bylicy, kwiatu maku polnego, ziela żegawki, jemioli. Ziela dobiera się w proporcji 2,5:1,5:2,5:1,5. Na szklankę wrzątku użyć należy 1 łyżkę mieszaniki. Zalecane jest picie 1/4 szklanki naparu 4 razy dziennie.

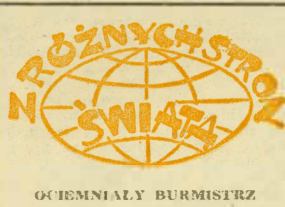
— **bylica pospolita** rośnie na miedzach, przydrożach, przychacich, w ogrodach, na nieużytkach w całej Polsce. W skład mieszaniki wchodzi ziele bylicy, które należy zbierać pod koniec lipca lub na początku sierpnia, to jest w okresie kwitnienia. Ziele zawiera związki żwycowe, śluz, inulinę, kwas organiczny oraz olejek eteryczny, w skład którego wchodzi cineol, tujon i borneol.

— **mak polny** — **maczek żałczek**, pospolity chwast zbóż ozimych i roślin okopowych o purpurowych kwiatkach i sztywnej, owłosionej łodydze. W kwiatkach znajduje się alkaloid rhoedyna, papaweryna, tłuszcz, czerwony barwnik antocyjanowy, śluz, związki żwycowe. Medycyna ludowa poleca picie herbaty z kwiatu maku jako środka uspokajającego i nasennego. Zbiór surowca należy dokonywać w miejscach, gdzie maczek występuje masowo.

— **żegawka roczny gatunek pokrzywy**, roślina ruderalna, wyrasta pod potłami. Różni się od pokrzywy zwyczajnej — wieloletniej tym, że bardziej się rozkrzewia i silniej parzy.

Wymienione mieszaniki ziołowe należy stosować po konsultacji z lekarzem.

(Hok)



ENERGIA ELEKTRYCZNA Z WIATRU

Wbrzeża Arktyki — to kraina wiatrów. Ich niewyczerpane zasoby postanowili wykorzystać specjaliści z Peczorskiego Kombinatu Rybackiego do produkcji energii elektrycznej. Zmontowano niewielki generator wiatrowy, przynoszący olbrzymie efekty ekonomiczne. Pozwala on na zaoszczędzenie wielu ton paliwa rocznie, dostarczenie którego za Koło Podbiegunowe jest bardzo kosztownym przedsięwzięciem. Wstróte na wbrzeżach Arktyki pojawi się więcej takich urządzeń.

PORWANIE

Pewien działacz społeczno-polityczny w Barcelonie otrzymał list naprowadzający treści: „Porwałismy pańską żonę i będziemy ją więzić tak długo, póki nie odwoła pan wszystkich swoich politycznych spotkań”. Mąż natychmiast dostosował się do żądania i po trzech dniach szłał z radością, bowiem małżonka wróciła do domu.

Taki happy end nie zadowolili jednak oficer śledczego policji. Kobieta została porwana z domu, gdy przebywała w kuchni i gotowała obiad, a tymczasem miała na sobie wizytową sukienkę i lakerki na wysokich obcasach. Kto w takim stroju gotuje obiad? — pomyślał policjant i wziął w obroty porwaną. Ta ofiarcie zalewając się łzami w końcu zeznała, że razem z kochankiem zamieszkiwała porwanie, aby móc spędzić z nim trzy dni.

DŹDŻOWNICA — ZAMIAST BEFSZYTKA

Już w końcu XIX wieku Karol Darwin stwierdził, że dżdżownice spożywane chętnie przez ryby, świnie i drób mogą stać się również pokarmem dla ludzi. Ostatnio brytyjscy naukowcy opracowali program wykorzystania mięsa dżdżownicy jako bogatego w białko i aminokwasy składnika pożywków. Hodowla dżdżownicy nie byłaby trudna, można bowiem pokarm uzyskać z odpadów organicznych. Po przerobieniu ich odpadów powstanie substancja podobna do dużych walorach, która może znaleźć również zastosowanie w rolnictwie i w przemyśle.

Chłopiec, który musi żyć nago

Pewnego zimowego dnia na jednej z ulic Triestu zdużmieni przechodnie ujrzeli 7-letniego chłopca ubranego jedynie w kąpielówkę i letnie sandały. Chłopiec niósł na plecach tornister szkolny i wesoło podskakując zatrzymywał się przed wystawami sklepów, nie zwracając najmniejszej uwagi na podmuchy lodowatego, zmieszane z deszczem i śniegiem wiatru. Kulający się z zimna przechodnie oglądali prawie nagi dziecko z uczuciami współczucia i oburzenia na rodziców chłopca, w ich mniemaniu pozbawionych ludzkich uczuć, względnie zwolenników hartowania posuniętego aż do absurdu.

Nikt oczywiście z tych przypadkowych widzów nie miał pojęcia o tym, iż spieszący tego dnia do szkoły mały Christian nie posiada innej życiowej alternatywy jak żyć nago lub... umrzeć. Jest bowiem fizjologicznie uzdolniony na noszenie jakiegokolwiek ubrania i nawet włożenie lekkiej koszuli wywołuje u niego objawy duszności zagrażające życiu.

Wydaje się oczywiście, że ta unikalna forma alergii powinna również automatycznie skazać dziecko na niebezpieczeństwo groźnych zaziębień, względnie potrzebę trzymania go w warunkach specjalnie klimatyzowanych. Nic jednak podobnego, natura bowiem jakby chce wynagrodzić dziecku wyrządzoną mu krzywdę wyposaża ją w system regulacji cieplnej, która sprawia, że chłopiec jest całkowicie niewrażliwy na zmiany temperatury, nawet najbardziej gwałtowne.

Podczas gdy normalny człowiek ginie w warunkach znacznego obniżenia temperatury ciała, Christian z łatwością znosi wszelkie kontrasty, przechodząc bez najmniejszej szkody od upału do bardzo niskich temperatur.

Dotychczas medycyna nie jest w stanie wyłuszczyć tego wyjątkowo rzadkiego typu alergii, poprzedzającego razie tylko na obserwacji niezwykłego zjawiska, związanego z działaniem regulacji cieplnej organizmu.

Christiana nie ulega wątpliwości, że jego alergja związana jest z dziedzicznością, zarówno bowiem matka jak ojciec należą do osób uczulonych, aczkolwiek ich typy uczulenia zaliczają się do najczęściej spotykanych. Natomiast charakterystyczną rzeczą jest bardzo szeroki wachlarz czynników uczulających, wykryty u obojga, wyrażający się ilością co najmniej 10 tzw. alergenów.

U Christiana pierwsze objawy uczulenia wystąpiły już w drugim miesiącu życia pod postacią nagłych duszności i konwulsji. Objawy te ustępowały po całkowitym odkryciu dziecka i pozbawieniu go nawet pieluszki. Aż do lat szkolnych dziecko nie nosiło żadnego ubrania, zaś obawy przed zaziębieniem całkowicie zniknęły, gdy okazało się, że Christian jest absolutnie niewrażliwy na zmiany temperatury.

Z chwilą pójścia do szkoły, Christian musiał przyzwyczaić się do minimum garderoby, ograniczającej się jedynie do kąpielówek i otwartych sandałów. Nieoczekiwanie chłopiec został bardzo dobrze zaakceptowany w środowisku szkolnym, zaś jego koleży okazują mu szczególną przyjaźń i zrozumienie.

Urodziny, o pięknie opalonej skórze chłopiec jest doskonałym uczniem, bardzo rozwinięty umysłowo, zaś poziom jego wiadomości zadziwia nauczycieli. Każdego roku Christian wyjeżdża wrz z rodzicami do Szwajcarii, gdzie poddawany jest specjalnym testom rutynowym przez miejscowych lekarzy. Po ukończeniu podstawowej nauki zostanie prawdopodobnie zaproszony do Stańców Zjednoczonych celem obserwacji prowadzonych przez specjalistów z dziedziny chorób alergicznych.

Czy Christian pozbędzie się kiedykolwiek nietolerancji wobec ubrania — trudno na to jeszcze znaleźć odpowiedź, podobnie jak w wypadku innego fenomenu natury — dzieci żyjących w plastikowym namiocie z powietrzem naturalnych czynników obrony organizmu.



Jednego czasu była na świecie bardzo piękna dziewczątka u króla, który ją kochał nad życie. Co tylko chciała, to miała, ptasiego mleka jej nie brakło. Aż gdy wyrosła, a ojciec mówić zaczął, że czas za męża iść, wręcz mu powiedziała, że nie pójdzie za nikogo, tylko za takiego, który od niej rozumniejszy i zręczniejszy będzie, a jej się upodoba.

Więc nad dworem królewskim złote koło przybito i zaczęli do niej jechać w swaty, i jechali królowie, panowie, kmiecie, kneziowie, chłopaki dorodne. Krasne... ale, gdzie!... wolności jej była miła, żadnego nie chciała.

Jeden był za duży, to go obrzymem przyzywała; drugi za mały to go krasnalkiem zwała. Ten był za czerwony, tamten za błądy; jeden za młody, drugi za głupi... dosyć że się nie spodobał żaden.

Po ogródku sobie chodząc kwiatki zbierała, piosenki śpiewała, z ludzi się śmiała, w boki się brała i powtarzała: „Nie będzie mnie miał żaden, nie będzie!”

Przyjechał który, wydziwiała srodze. Jednemu kazała sobie przynieść wody żywiącej, której mok o siedmiu głowach piłował. Ten poszedł po wodę ze złotym dzbanuskiem i nie wrócił — smok go połknął, a dzbanuszek sam do dworu przyplynał.

Drugiego po złote jabłko na górę lodowatą wysłała. Ten jechał, jechał, wpadł w przerebłę i ryby go zjadły — tylko piórko od kołpaka pod dwór przyplynęło.

Trzeciego wyprawiła, aby jej gwiazd na sznurek nanizal, do

noszenia na szyi. Ten poleciał wysoko i sepy go rozszarpały, co pilnują nieba — tylko sznurek krąsy upadł pode dworem.

Aż się wybrał w swaty do niej króliewicz Siła, czarownik wielki. Ten gdy ją zobaczył, serce mu się zagotowało i rzekł sobie: „Bym i życie postradał, to ją muszę mieć!”

Królewna, jak go tylko zobaczyła, srodze się ulekała, poczęła kardzo drzeć i płakać.

Kazała mu zaraz iść za morze i przynieść tego ziela, co umarłych ożywia, do którego dostąpić można tylko przez płomień, a woda ich żadna nie gasi.

Królewicz zaraz ptakiem się stał, poleciał za morze, z góry na

linie koło niej jak śnieg białe, ona jedna, że krew miała, więc na grzędce różowiła.

Królewicz z ojcem idą do ogrodu.

Stanęli jakoś przy grzędzie, przy lilii. Gdy się do niej zbliżyli, biała lilia ze strachu jeszcze mocniej pokraśniała.

Królewicz zaraz poznał ją po rumieńcu, rękę przyłożył do łodygi — aż tu panna stoi i płacze.

— Poznałeś mnie dwa razy, nie odgadniesz raz trzeci.

I do komory leci, zasuwa się, na łóżeczku siada, płacze, płacze, aż z łez strumyk płynie. Myślała, myślała, płakała noc całą, nad rankiem okno odsunęła... i złota muszka wyleciała.

chodzi, narzeka, ręce lamie, wtem na kamyk nastąpił przypadkiem — a jakie oczko śliczne! Schylił się do kamyka, a tu panna z ziemi wstaje, z suknią przydeptaną, bo ją nogą uciśną.

Znalazłem cię piąty raz, musisz być moją! — wola króliewicz.

— Do siedmiu daleko! Będziesz mnie miał za siódmą górą i za siódmą rzeką!

Panna do dworu gniewna bieży, aż na ziemi w komorze leży, tak się smuci, tak we łzach płynie. Postrzeżga muszkę na podłodze, jak się zwinęła i do dziurki schowała, i myśli: „Myszka się stanę. Skryję się w norę, tam on mnie nie wyszuka!”

Ale wróbel na oknie siedział, słyszał, jak szeptała, poleciał do króliewicza, usiadł mu na ramieniu i szczebioce!

— Panna muszka się stała, w dziurkę małą schowała!

Królewicz w kota burego się odmienił, siadł i czatuje.

Myszce się zachciało, ledwie główkę pokazała, kotek drogę zastępuje:

— A tuś!

Zlekła się królewna, aby jej nie połknął, aż tu słyszy te słowa: — Poznałem cię szósty raz. Moją musisz być teraz.

— Nieszczęśliwa godzina! Doloż moja, doleczko! Co ja pocznę z nim?

W okienku swita. Co tu poeżać, gdy słonko wrójdzie? Musi się przemienić! A słonka, tylko nie widać!... Radzily siostry, radzily, aż się królewna zmieniła w starą zebzaczkę, pomarszczoną, żółtą, i poszła zebrać na gościniec. Mówiła sobie: „Nie pozna mnie!”

Stoi, stoi na drodze, jedzie król na koniku. Co za baba stoi? Kazał dać jej miłosierdzie — pojechał. Myśli sobie panna: „Ojciec własny nie pozna! Wygrana moja!”

Jedzie pan brat, jedzie, spojrzal na staruchę i roześmiał się:

— A co za ropucha? Spędzić mi ją z drogi!

Jedzie króliewicz na siwku, w boki się wzięwszy, piosenkę nuci. Kołpaczek na ucho włożył, włosy mu wiatr złote rozwiewa... Nie się nie frasuje, Patrzy — zebzaczką stara stoi. Rzuci jej pierścień złoty.

Wtem panna z trwogi, choć jej teraz poznać nie mógł, płacząc sobie na twarz zaciągnęła przedko. Tym się zdradziła. Patrzy panicz i wnet do niej podskoczy, i pogląda jej w oczy. Oczów odmienił nie mogła — świeciły jak dwa słoneczka... Porwał ją wpół, na konika rzucił.

— Poznałem cię siódmym razem! Musisz moją być teraz!

I sprawił król wesela, na którym ja też byłam, miód i piwo piłem.

Józef Ignacy Kraszewski

O KRÓLEWNI CZARODZIEJCE

ziele padł, dziobem je pochwycił, uszczknął i przyniósł gałązkę. Właśnie był królowi synek zmarł i smutek we dworze wielki był. Przyłożyli ziele do serca, aż chłopak wstał, oczy przetrzał i zawołał:

— Dawajcie jeść, bo mi się bardzo dobrze spało!

A król, szczęśliwy, uściskał go i zawołał do córki:

— Inaczej już nie może być, musisz mi zaraz za niego iść!

Królewna zaplakała gorzkimi łzami.

— Kiedy muszę, to pójdę — rzekła — ale nie inaczej, aż mu ja się siedem razy schowam i siedem razy mnie wyszuka. Dopiero będę jego...

Drugiego dnia przez okienko otwarte królewna poleciała gołąbką po dworze, zmieszała się w stado i z ptactwem latała. A że ptaki czuły w niej innego ducha, że nie swoją im była, co się do gromady zbliżyła, stado się zaraz rozszarpało, a ona siedziała jedna. Króliewicz się jastrzębiem uczynił i pogniósł za nią. Ulekała się go strasznie, usiadła na ziemi, przemieniła w dziewczynę. Patrzy, jastrząb przy niej króliewiczem stoi i za rączkę bierze.

Poszła więc gniewna, zamknęła się w komorze, płakała, myślała nockę całą, nade dniem do ogródka się wymknęła, usiadła na grzędce i lilią zakwitła. Wszystkie

Leci, leci, ale strach jej wielki. Ptaszki za muszkami latają, tylko co ją który nie dziobnie. Króliewicz może podpatrywał, może mu kto podszeptował, przemienił się w strasznego pajaka, zasnął w powietrzu pajęczynę ogromną — i czeka. Wróble muszkę napędzają i... w siatkę mu wpadła. Pająk do niej — królewna stoi i płacze.

Znowu idzie do komory, siada na łóżeczku, głowę nakryła i płacze a zawodzi. Płakała całą noc, a gdy rozedniało, na brzeg morza biegła. Nie widziała jak króliewicz patrzył zza drzewa.

Plusnęła w wodę rybką złotą, a on tuż w srebrną się przemienił. Gdzie się złota rybka obróci, srebrna goni za nią. Uderzyły się głowami, słyszy królewna słowa: — Czwartym raz przegrała, musisz być moją!

Gdy te słowa usłyszała, panna do brzegu plynęła i biegła do malowanego dworu.

Płacze znowu noc całą, nade dniem się namyśliła. U brzegu nad wodą tyle kamuszków leży... „Któż mnie poznać tam może, gdy ja się białym kamuszkami podobzę?” Poleciała na brzeg, w kamuszek się obróciła śliczny i leży.

Królewiczowi piąty już raz bardzo było trudno odgadnąć. Gdzie tu jej szukać, w powietrzu, na ziemi, w wodzie, pod ziemią, czy nad ziemią? Szedł tedy nad brzeg morza chcąc się topić. Chodzą,

kilka następnych tygodni spędzić z przetrąconą nogą w gipsie. A lis zapewne do dzisiaj buszuje w swoim rewirze...

Kolega z krynickiego koła łowieckiego opowiadał kiedyś taką oto historię o lisie:

Jakiś chłop wyrzucił do lasu padlinę. Myśliwy, o którym mowa stwierdził, że jest to znakomita okazja do zasadzki na lisa lub rysia, które to zwierzęta gustują w padlinie. Odsiedział więc dwa wieczory bezskutecznie, ale trzeciego dnia zauważył, że przynęta została naruszona. Zasiadł więc ponownie, żywiąc nadzieję, że tym razem nie na próżno. Po jakimś czasie zauważył skradającego się lisa, ale ponieważ na strzał było za daleko, spokojnie więc czekał aż zwierzę podejże bliżej. Lis, z natury sprytny i ostrożny, nie spieszył się sprawdzając, czy teren jest bezpieczny.

Zdenerwowanie kolegi wzrosło, kiedy usłyszał warkot silnika samochodu na drodze, który mógł odstraszyć zwierzaka. Tak też się stało. Wystrzał — jak się wydawało — z rury wydechowej spłoszył lisa, który podał tyły. Klnąc w żywy kamień przejeżdżający gruchot i jego właściciela, kolega zrezygnował z dalszych zamiarów.

Po paru dniach znajomy naszego kolegi, również myśliwy, zwierzał mu się z takiej przgydy:

— Wiesz, jechałem kilka dni temu przez (tu wymienił nazwę wsi) i zobaczyłem z drogi zalegającego lisa. Nie gasząc silnika (zgaszenie motoru spowoduje zawsze natychmiastową ucieczkę zwierzęcia) wygarnąłem przez otwarte okno samochodu najgrubszym, jaki miałem, śrutem i haniebnie spudłowałem.

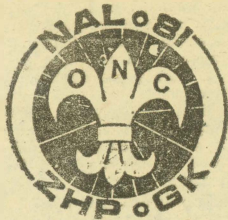
Czas i miejsce przgydy były dokładnie te same...

STANISŁAW SIMINSKI



LISY

Wczasach, gdy zaczynałem polować, lisy traktowane były jako zwykłe szkodniki łowieckie. Po odstrzeleniu lisa zostawiano się go prosto w lesie i co najwyżej sztukę o wyjątkowym futerku brało się do domu. Było z tego zresztą więcej kłopotu jak pożytku. Dopiero, gdy rude kity stały się ozdobą modnych strojów, nastąpiła dla lisów ciężka czaśy.



WAKACYJNA ESTRADA

Nie możecie zapomnieć o przygotowaniu okolicznościowych medali, dyplomów czy własnoręcznie wykonanych maskotek. Pamiętajcie, że impreza powinna przebiegać sprawnie, a czas jej trwania nie powinien przekroczyć ok. 2 godzin.

Zyczymy Wam wesołej zabawy i czekamy na listy i meldunki.

ZADANIE MIĘDZYZBIÓRKOWE:

Przeprowadzić zjazd terenowy z odszukaniem rolników potrzebujących Waszej pomocy.

PIosenka TYGODNIA

Jak dobrze nam...

*Jak dobrze nam zdobywać góry
i pełną piersią wchłaniać wiatr,
prężnymi stopy deptać chmury
i palce ranić ostrzem skał.*

*Mieć w uszach szum, strumieni śpiew
a w żyłach rozżętnioną krew,
Hejże hej, hejże hej, zjymy więc
półki czas.*

bo kto wie kiedy znowu ujrzym was.

*Jak dobrze nam głęboką nocą,
wędrować jasną wstęgą szos,
patrzeć jak gwiazdy niebo żółcą
i czekać co przyniesie los.*

Tradycja każdej nieobozowej Akcji Letniej jest Wakacyjna Estrada. W tym roku doradzamy Wam prezentację najlepszych harcerskich piosenek. Aby Wakacyjna Estrada wypadła ciekawie proponujemy Wam zaproszenie do współpracy sąsiednich zastępów NAL-owskich. Na wspólnym spotkaniu powinniście ustalić miejsce, w którym odbędzie się główny koncert. Może to być podwórko, boisko, szkoła, baza zastępu lub pomieszczenie w budynku; regulamin przeglądu, zasady oceny występujących solistów, zespołów aktorów, teatryzków lalkowych lub cieni itp.; dobór repertuaru i czas trwania prezentacji.

Powinniście zadbać o właściwe rozpropagowanie Waszej imprezy przez wysyłanie zaproszenia do Waszych rodziców, koleżanek i kolegów, rozwieszenie plakatów, przejście korywodu przebiegających itp.



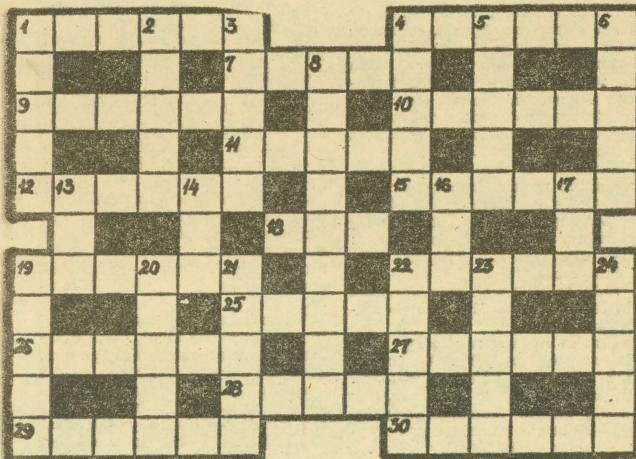
Moda

Swoobodnie i z wążkiem

Okrzes wakacji upoważnia mnie do zachęcenia Was byście wyglądały młodziej niż w ciągu całego roku. Wiadomo — nie musimy być dopięte na „ostatni guzik” — wycoczywamy psychicznie, fizycznie — trzydziestolatki wyglądają dziś młodziej niż kiedykolwiek. O spodniach już wszystkie magazyny mody pisały dokładnie i wszystkim. Nosimy i te wążki ze szczypankami wokół pasa i krótkie do kolana tzw. bermudy. Do swobodnego ubierania się potrzebną jest też poczucie humoru — a w okresie wakacji i urlopu humor powinien nas nie odstępować. A wiec wkładamy na siebie wszystko letnie to, co mamy w szafie. Sukienki wprawdzie nieco się skróciły, lecz jeśli jest długa i romantyczna z koronkami, będzie też dobrze wyglądała na opalonej i szczerpiej sylwetce. Do różnych długości spodni w których można chodzić od rana do wieczora wkładamy bluzki badawiane — podkoszulki z rękawami lub na szelkach oraz na wieczór bluzki zwiewne „koronkowe”. Sukienki letnie są proste i skromne (kolekcja Iódzkiej Telimery — patrz zdjęcie), często bez rękawa: Tkaniny gładkie, len i bawełna. Są to sukienki zwane często „koszulki” uzupełnione białym-dresem z tej samej tkaniny co sprawa że sukienka ma obniżoną talię. Nie zapominamy też o swetrze i kurtce które to rzeczy przy kapryśkach aury są nieodzowne.

(W)

Krzyżówka nr 30



POZIOMO: 1) owad; 4) wielka flota wojenna; 7) region, okolica; 9) trawienny enzym trzustkowy, powodujący rozkład tłuszczów; 10) część świata na półkuli północnej; 11) miasto w województwie krośnieńskim; 12) sposób postępowania; 15) kojarzy parę; 18) rodzina dużych muchówek; 19) samica ryb dojrzała do rozrodu; 22) woda kolońska; 25) węgierska potrawa (foneycznie); 26) ...Saudyjska; 27) bursztyn; 28) nawigacyjne znaki; 29) omasta; 30) bezwartościowy, banalny utwór literacki.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 31 lipca.



Rozwiązanie krzyżówki nr 27

POZIOMO: 1) Szczecin, 5) ugię, 10) zainteresowanie, 11) bierki, 12) autostrada, 16) duma, 20) kiełb, 21) Tatry, 22) zsył, 24) sprzedawca, 31) topiel, 32) konwencyjonalizm, 33) Polak, 34) organizm.

PIONOWO: 2) centrum, 3) elegia, 4) iperyt, 6) grawer, 7) epizod, 8) szyba, 9) donos, 13) tokarz, 14) Aleksy, 15) ambra, 17) Ulster, 18) Antyle, 19) patos, 23) szpilki, 25) pikolo, 26) znawca, 27) drenaż, 28) wizjer, 29) atonia, 30) plama.

Z uwagi na niedokładne podanie treści hasła 9 pionowo uznaliśmy wszystkie wersje rozwiązania. Nagrody wylosowały panie Maria Janiec z Limanowej i Danuta Michelis z Nowego Targu. Gratulujemy.

Pomyłka ekspertów — czyli...

„Brylantowa afera” — po węgiersku!

Historia prawie niewiarygodna, choć prawdziwa. Jeszcze w kwietniu ub. roku do jednego ze sklepów przedsiębiorstwa jubilersko-zegarmistrzowskiego w Budapeszcie zgłosił się niejaki Jenoe Ungar w towarzystwie pani Peterne T., oferując do sprzedania brylant. Dwaj eksperci po dokładnych oględzinach kamienia wycenili go na olbrzymią kwotę 1.109.300 forintów.

Zastrzeżli się jednak, że kamień musi obejrzeć jeszcze jeden, tym razem „supereksper”, pracujący w innym sklepie. Para zainosiła więc drogocenną rzecz pod wskazany adres, gdzie ów fachowiec dokonał ekspertyzy brylantu, znalazł na nim pewne rysy i w związku z tym obniżył wartość kamienia do 998.300 forintów.

Cena ta jak najbardziej odpowiadała sprzedającym i zawarto kontrakt. Przedsiębiorstwo przyjęło kamień w komis, asygnując tytułem zaliczki 600 tys. forintów. Przez kilka dni brylant przechowywano w sejfie, a następnie jeden z pracowników zaniósł go do sklepu, który zajmuje się sprzedażą wyjątkowo drogim biżuterii. Ledwie powrócił do przedsiębiorstwa, gdy wybuchła bomba: dzwonił kierownik sklepu twierdząc, że brylant to czysty falsyfikat, a jego wartość nie przekracza 500 forintów!

Można sobie wyobrazić, jakie zamieszanie wywołała ta wiadomość. Przedsiębiorstwo dosłownie ruszyło w pogoń

za Jenoe Ungarem. Kiedy udało się go wreszcie odnaleźć, kazano mu natychmiast zwrócić pobraną kwotę. Po wielu pertraktacjach Ungar przekazał 100 tys. forintów i prosił o rozłożenie pozostałej kwoty na raty, gdyż gotówką już nie dysponuje. Zwrócił się o to w imieniu Peterne T., która rzekomo miała być właścicielką kamienia. Przedsiębiorstwo nie wyraziło zgody na ratalne spłaty, a kamień zwróciło Peterne T. Od tego czasu wszelki ślad po „brylancie” zaginął.

Ungar bez paszportu uciekł do Jugostawii, skąd jednak szybko powrócił, wydany przez tamtejsze władze i na Węgrzech skazano go na 6 miesięcy więzienia za nielegalne przekroczenie granicy, co złożył już odczytać. Obecnie Ungar i jego współzaczeka oskarżają się nawzajem o zaginięcie kamienia. Clou całej sprawy jednak będzie rozstrzygnięcie zagadnienia, jak mogło do tego dojść, że aż trzech wybitnych znawców wartościowych kamieni popeliło pomyłkę i zwykłą błyskotkę wyceniło na milion forintów. Tymczasem przedsiębiorstwo jubilersko-zegarmistrzowskie, czekając na werdykt sądu, przed którym stanął Jenoe Ungar wraz ze swą przyjaciółką, nauczone przykrym doświadczeniem nabyło w Japonii specjalny przyrząd, który wyklucza popelnienie błędu przy badaniu, czy brylant jest naprawdę brylantem...

WOJCIECH STANKIEWICZ

OGŁOSZENIA PRASOWE do tygodnika „Dunajec”

(reklamowe, komunikaty, nekrologi, ogłoszenia „drobne“)

PRZYJMUJĄ:

- Sekretariat redakcji tygodnika „Dunajec” w Nowym Sączu, ul. St. Żółkiewskiego 11, tel. 238-36, 238-90
- Oddział redakcji „Gazety Krakowskiej” w Nowym Sączu, ul. Narutowicza 6, tel. 203-34
- Biuro Ogłoszeń i Reklam Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego Kraków, ul. Wiślna 2, tel. 270-89

PIĄTEK

PROGRAM I

8.00 Teleferie najmłodszych — gra w zielone
8.30 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila” (5) — „Przez granicę”
16.55 Program dnia
17.00 Dziennik
17.30 W kręgu rodziny
18.00 Film animowany
18.20 Magazyn motoryzacyjny
18.35 Lektorz radzi — wypadki i dzieci
18.50 Dobranoc
19.00 Monitor rządowy
19.30 Dziennik
19.45 Rolnicze rozmowy
20.25 „Przyjaciele” — film seryjny TP
22.00 Listy o gospodarce
22.45 Dziennik
23.00 Studio filmowe im. Andrzeja Munka — „Lęk przestrzeni”

PROGRAM II

18.55 Program dnia
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 Taska ryba
20.05 Program na dziś i jutro
21.00 Świat na małym ekranie
21.50 24 godziny
22.00 Teatr Telewizji — scena współczesna — Jarosław Iwaszkiewicz — „Noc czerwcową”
22.35 Kronika Uniwersjady

SOBOTA

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila” (6) — „Zbiegowie”
15.55 Program dnia
16.00 Dziennik
16.20 „Gwiazdობიობი” — Bogumił Kobiela
17.15 „Radar”
17.30 „Zgadnij, kim jestem”
18.15 „Monitor sejmowy”
18.50 Dobranoc
19.00 Telewizja młodych
19.30 Dziennik
20.00 „Maria Antonina” (1) — „Przedsmak królowania” — film seryjny prod. francuskiej
21.40 Studio sport — półfinał kontynentalny mistrzostw świata na żużlu
22.20 Dziennik
22.30 Kino nocne — „Most na Renie” — film fab. prod. USA

PROGRAM II

18.00 Program dnia
18.35 „Portret ze wspomnień” (2)
18.50 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 Studio sport — Uniwersjada — zawody lekkoatletyczne
21.25 24 godziny
21.35 Nowele Grahama Greene’a — „Wycieczka na wies”
22.30 Uwory Paderewskiego
23.00 Kronika Uniwersjady

TV BRATYSŁAWA

PROGRAM I

8.20 Pionierska Jaskółka
11.05 „Panie na Morgodorze” (9)
15.35 Ptak — muzyczny program rozrywkowy
16.15 „Banjo Backett” — historia hodowcy koni
17.50 Na listami widzów
18.00 Uniwersjada 1981 — transmisja bezpośrednia z zawodów lekkoatletycznych
18.45 „Tata, mama i ja” (8) — odc. ostatni
19.10 Wieczorynka
19.30 Dziennik TV
20.05 „Bakalarze 1981”
21.20 Bramki, punkty, sekundy
21.30 Elitkar młodości — program rozrywk.
22.15 L. Feldek: „Ciocia do zjedzenia” — telewizyjna wersja sztuki teatralnej
23.15 „Komik i jego świat”
24.15 Uniwersjada 1981 — informacje

PROGRAM II

17.30 Trąbka obozowa
18.20 „Czerwone czarne” (4)
19.30 „Kuba zaczyna się w Hawanie”
20.00 Calderon de la Barca: „Życie jest snem”
21.30 Mistrzostwa świata na żużlu — indywidualny finał kontynentalny



24.VII.81 — VII.

NIEDZIELA

PROGRAM I

7.30 „Nowoczesność w domu i zagrodzie”
8.00 „Tydzień” — magazyn redakcji rolnej
9.00 „Telewizjada” — magazyn redakcji rolnej
9.30 Kino telerranka — „Przygody Buratnika” — (1)
10.40 Antena
11.10 „Świat wokół nas” — „Kroliki — czy mają przeyć, czy zginąć”
12.00 Dziennik
12.45 Telewizyjny koncert życzeń
13.30 „Jak zostać rolnikiem?” — program redakcji rolnej
14.00 „Sągi rodzinne”
14.30 Losowanie Dużego Lotka

TYLKO NA NIEDZIELĘ

14.40 „Wiersz dla ciebie”
14.45 „Pamiętki Powstania Warszawskiego” (1)
14.55 „Wiersz z piosenkami” — quizowy program Marka Sarta
15.40 Inny sposób myślenia — dyplom — publiczna obrona prac dyplomowych studentów ASP
16.10 „Pamiętki Powstania Warszawskiego” (2)
16.30 Spotkanie z pisarzem — Marek Nowakowski
17.10 Otello w Teatrze Telewizji — reportaż ze studia TV z realizacją „Otella”
17.35 „O filozofii, polityce i nie tylko...” — rozmowa z prof. Marianem Dobrosielskim
17.50 Detektyw historii — Powstanie Warszawskie
18.10 „Pytania na dziś” — kultura jako obiekty przestępstwa
18.30 „Jaka jestem naprawdę” — Maryla Rodowicz
19.05 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 „Wiersz dla ciebie”
20.05 „Adela jeszcze nie jadła kolacji” — komedia produkcji CSRS
21.50 Sportowa niedziela
22.25 „Amadeusz” — relacja z przygotowań i premiery spektaklu Petera Schaffera — „Amadeusz”

PROGRAM II

11.55 Program dnia
12.00 „Kroćkofalowy” — program wojskowy
12.30 „Przyjaciele” (1) (powtórzenie z piątku)
14.00 „Przeboje tygodnia”
15.00 „Spotkania literackie”
15.30 „Ziemia odrodziona” (5 — ostatni)
16.30 „Przez Andaluzję” — z biegiem Gwadalquiviru
17.35 Działania i słowa — teleturniej
18.05 „Da capo...” — program muzyczny
19.00 Studio sport (Uniwersjada — finał le)
19.20 Dziennik
20.00 Studio sport (Uniwersjada — finał la)
21.10 „Album wierszy polskich”
21.40 FilMOTEKA narodowa — filmy Stanisława Rogóżewicza — „Trudna miłość”
23.00 Kronika Uniwersjady

TV BRATYSŁAWA

PROGRAM I

8.20 Chodźcie z nami... — programy dla dzieci
10.35 Losowanie Sportki
10.45 „Doktor w domu” (5)
11.10 Zwiercielna tygodnia
13.55 Motocrossowe mistrzostwa świata — transm. bezpośrednia z 1. przejazdu

PROGRAM I

14.50 Relacja z meczu piłki nożnej Slovan Bratislava—Banyasz Tatabanya
16.00 Motocrossowe mistrzostwa świata — transmisja z 2. przejazdu
16.55 „Kiedy Burian kurzy!” — film czeski z V. Burianem w roli głównej
18.30 Spotkamy się na Włachowie — muzyczny progr. rozrywkowy
19.10 Wieczorynka
19.30 Dziennik TV
20.00 Niedzielną chwilą poezji
20.10 Jan Cikker: Beg Bajazid — filmowa wersja opery
21.25 „Most Karola” — progr. dok.
21.50 Bramki, punkty, sekundy
22.05 Kino mojej młodości — wspomnienia red. naczelnej „Dziobrazu” J. Beszy
23.00 Uniwersjada 1981 — informacje

PROGRAM II

16.50 z Kraju Rad: „Wielkie rzeki”
17.40 Tydzień na ekranie
18.00 Uniwersjada 1981 — transm. bezpośrednia z zawodów lekkoatletycznych
19.30 Artysta narodowy Ferdisz Kostka
20.00 „Odpływ” — film z franc. serialu „Komisarz Moulin”
21.25 Teatr bez kurtyny
22.20 Kultura 1981 — miesięcznik kulturalno-polityczny

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

17.05 Program dnia
17.10 Dziennik
17.30 „Droga” (5) — „Rysopis wwoodziela” — film obyczajowy TP
18.30 „Dom i my”
18.50 Dobranoc
19.00 „Echa stadionów”
19.30 Dziennik
20.00 Rolnicze rozmowy
20.10 Teatr Telewizji — Ryszard Frelek — „Przeszło nie minęło”
21.10 „Album z piosenkami” — program rozrywkowy
21.40 „XYZ” (1)
22.05 Dziennik
22.10 „XYZ” (2)

PROGRAM II

18.55 Program dnia
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.05 „Spotkanie z Irakiem” — film dokumentalny
20.40 „Świat cywilizacji — sztuka sumeryjska” — film dokumentalny
21.00 Gość wieczoru — doc. Jan Braun
21.16 „Babilon” — feletton filmowy
21.25 Gość wieczoru — Michał Pawlikowski
21.35 „Od miedzi do złota” — film dokumentalny
21.45 Rozmowa na temat sztuki ludowej
21.50 „Ceramika” — film dokumentalny
22.05 Taniec — muzyka Iraku
22.20 24 godziny

WTOREK

PROGRAM I

9.00 Teleferie telewizyjny dziewczęcy i chłopczy — „Na zdrowie!” — oraz film Przygody psa Cywila” (7) — „Niewypały

17.05 Program dnia
17.10 Dziennik
17.30 Polska Kronika Filmowa
17.50 „Interstudio”
18.10 Telewizja młodych — CDN
18.50 Dobranoc
19.00 „Camerata”
19.30 Dziennik
20.15 „Zamach” — dramat wojenny produkcji polskiej
21.40 „Forum ekonomiczne”
22.25 Dziennik
22.40 „Zaczniemy od Mony Lizy”
23.10 Telewizja w sprawie miliardów

PROGRAM II

18.55 Program dnia
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 Kronika Uniwersjady
20.40 „Z pokolenia na pokolenie”
21.10 Wiecór filmowy
21.40 24 godziny
22.40 Kronika Uniwersjady

ŚRODA

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii — „Wakacje z duchami” (1) — „Na zamku straszny”
17.05 Program dnia
17.10 Dziennik
17.30 „Nigeria doktora Kumolu Johnsona” — film dokumentalny produkcji węgierskiej
18.20 „Magazyn motoryzacyjny”
18.35 Losowanie Małego Lotka i Express Lotka
18.50 Dobranoc
19.00 „Przymat”
19.30 Dziennik
20.00 „Karol Marks — lata młodości” (5) — serial biograficzny
21.05 „Śpiewnik domowy” Stanisława Moniuszki z XX Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie Zdroju
22.00 „Mieszkanowiec progi” — program publicystyczny
22.30 Dziennik
22.45 Telewizja w sprawie miliardów

PROGRAM II

18.55 Program dnia
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 Kronika Uniwersjady
21.00 24 godziny
21.40 Film fabularny
22.50 Kronika Uniwersjady

CZWARTEK

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii — „Wakacje z duchami” (2) — „Akcja — stary kałoz”
17.05 Program dnia
17.10 Dziennik
17.30 Informator turystyczny
17.50 „Tak czy inaczej” — „Federacja kosmopolitów”
18.20 Poligon
18.50 Dobranoc
19.00 „Sonda”
19.30 Dziennik
20.15 „Aniołek Charlego” — „Anielskie dziecko” — film kryminalny produkcji USA
21.05 „Pegaz”
21.40 „Piosenki z trójką” — program rozrywkowy
22.20 Dziennik
22.30 Telewizja w sprawie miliardów

PROGRAM II

18.55 Program dnia
19.00 Kronika
19.30 Dziennik
20.00 „Głosy świata” — recital wokalny wybitnych śpiewaków operowych — program TV NR4
20.40 „Czy więcej wiemy?” — „Droga do szczęścia”
21.10 24 godziny
21.20 „Szkółko i oko” — magazyn popularnonaukowy
22.35 Kronika Uniwersjady

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

REPERTUAR KIN

CZARNY DUNAIEC: 28—29 Kung-fu (polski, społeczny); **GÓRICE:** 28—30 Powstanie cesarza (węgierski, kostiumowy); Kariera na zlecenie (francuski, dramat psychologiczny); **GRYBÓW:** 27—28 Afera Concorde (włoski, sensacyjny); 28—29 Gra ciałem (CSRS, dramat psychologiczny); **JORDANÓW:** 28—29 Brat katedra (NRD, historyczno-przygodowy); **KROŚCIENKO:** 27—29 Męczennik w lodzie (rumuński, kryminalny); 31 — Sanchez i jego dzieci (meksykański, młodzieżowy); **KRYNICIA:** 28—31 Zandarm w Nowym Jorku (francuski, komedia); **LIEMANÓW:** 28—29 Gerard (radziecki, młodzieżowy); 30 — Czarny korsarz (włoski, przygodowy); **LUBIEN:** 28 Idealna para (USA, komedia)

satyryczna) 29 Niech się boi (CSRS, młodzieżowy); **LĄBÓWA:** 28—29 Ale kino (USA, komedia); **MŻANIA DOŁNA:** 28—29 Drień Wisły (polski, młodzieżowy); 30 — Saturn-3 (angielski, kosmonautyczny); **MUSZYNA:** 28—30 Jak żyć (polski, komedia satyryczna) 31 — Na tropie Wilby’ego (angielski, sensacyjny); **NOWY SĄCZ:** Podnole: 24—28 Miś (polski, komedia); 29—31 Przybywa jeździec (USA, western); **NOWY TARG:** 25—28 Jego kobiecy (NRD, dramat społeczny); 27—29 Wierne żona (francuski, kostiumowo-miłosny); 30 — Bitwa o Midway (USA, wojenny); **PIWNICZNA:** 28—30 Urodziny młodego warszawiaka (polski, wojennosensacyjny); od 31 F.I.S.T. (USA, społeczny); **PORONIN:** 28—30 Kontrakt (polski, komedia społeczna) 31 — Omen (angielski, horror); **RABKA:** 28—29 Jak żyć?

(polski, komedia satyryczna), 30—31 Lęk wysokości (USA, sensacyjny); **ŁĄBA WYZNA:** 25—26 Jesienna sonata (szwedzki, psychologiczny); 28—31 Spotkanie na Atlantyku (polski, psychologiczny); **RYBÓW:** 28—29 Czwarte zwycięstwo (radziecki, młodzieżowy); **STARY SĄCZ:** 27—28 Klatka (francuski, komedia); 28—30 Ucieczka z domu (CSRS, społeczny); **SZCZAWNICZNA:** 28—29 Polonia Restituta (polski, dokumentalny); 30 — Zandarm w Nowym Jorku (francuski, komedia); **TYMBARK:** 28 Gwiazdy poranne (polski, dramat społeczny); **ZAKOPANE:** 28—29 Superpotwór (japoński, sensacyjno-fantastyczny); 30—31 Przyjaciele jacyosiowianki, dramat społeczny.

DUNAIEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binck, Beata Dembowska, Krzysztof Dobos (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (ca sekretarz redakcji), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (ca redaktora naczelnej), Antoni Krob, Jerzy Lesiak, Adam Ogórzalek (redaktor naczelny), Franciszek Pałka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-200 Nowy Sącz, ul. Śl. Żółtewskiego 11. Telefon: 238-36. 238-29. Telex: 8322748 Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-20, 275-88; wewn. 238. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiśna 2. Druk: Zakład Poligraficzny RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.

Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiśna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1152-201015-100-11. Nr indeksu 35657 F-8



Rys. JULIAN BOHDANOWICZ

Gruszki na wierzbie w Szczawnicy

W Parku Górnym w Szczawnicy rosną dwie grusze, nazywane gruszkami na wierzbie. Są to grusze syryjskie, wierzbolistne. Faktycznie, wygląd ich przypomina wierzbę: są lekko omszone, srebrzyste i o siwym kolorze. Stąd wszyscy określają te drzewa jako gruszki na wierzbie. Liczą one prawdopodobnie oko-

ło 80 lat. Owoce mają mniejsze od owoców dzikiej gruszki i bardzo cierpkie. Uznane za pomnik przyrody znajdują się pod ochroną. Ale turyści zrywają na pamiątkę liście, a nawet gałęzie, jako dowód, że jednak rosną gruszki na wierzbie.

JOZEF WITOWSKI

„Kotłownię“ pod Karpatami

Sztuczne gejzery będą ogrzewać w przyszłości miasta i uzdrowiska Zakarpacia. Na brzegu górskiej rzeki Borzawy, gdzie powstaje piwzyszy na Ukrainie eksperymentalny system wydobycia ciepła gębinowego, rozpoczęło się już wiercenie otworów. Badania stwierdziły, że na głębokości około 3 km rozpalone skały ogrzewają wodę do 200°C. Obliczenia wykazały, że zasoby energii geotermalnej we wnętrzu przedgórz ukraińskich Karpat są praktycznie nie wyczerpalne. Energia ta jest znacznie tańsza niż tradycyjne rodzaje paliwa.

Jerzy Leszczyński

Fraszki

O STRUKTURACH

Jedynym ratunkiem dla lecących z góry mogłyby być chyba pochylte struktury.

OBciążENIE PSYCHICZNE

Z buławą marszałkowską w plecaku już nie tak łatwo iść do ataku.

ZAGROżENIE

Po tęgiu zagrożającym światu jest czasem trudno do kwadratu.

PROBLEM WYBORU

Najdłużej wybieramy jedno z dwóch takich samych.

ODPOWIEDNIE SŁUCHANIE

Mówiący do rzeczy jest czasem słuchany tak, jakby do lampy mówił lub do ścian.



WYTRWAŁA

50-letnia obywatelka Anglii, Betty Tudor, już od 19 lat usituje zdać egzamin na prawo jazdy, niestety, bez powodzenia. Jej instruktor tak dokuczal pechowej kandydatce na kierowcę, że ta musiała się nawet leczyć w klinice psychiatrycznej.

Pani Tudor postanowiła spróbować ostatniej szansy i stanąć do egzaminu po raz ostatni. Jeśli się nie uda, już nigdy nie będzie się ubiegać o prawo jazdy — solennie obiecała rodzinie.

DRZEWO ŻYCIA

Naturalną „apteką” dla mieszkańców turkmeńskiej wsi Kujtan stał się lasek, w którym rosną drzewa „unabi”. Są to bardzo rzadkie rośliny, leczące wiele schorzeń. Specjaliści są zdania, że zawierają one bo-

gactwo substancji aktywnych biologicznie i różnych mikroelementów. Ludność miejscowa twierdzi, że w lesie leczy nawet samo powietrze, zwłaszcza w czasie kwitnienia drzew. „Unabi” spotyka się jedynie pojedynczo w Azji Środkowej i na Kaukazie. Las nie opodal wsi Kujtan znajduje się pod ochroną.

KOMPUTEROWY GENIUSZ

Eugene Volokh studuje na uniwersytecie w Los Angeles technikę komputerową, a opłaca studia z pieniędzy, które zarabia w pewnym koncercie, układając dla niego programy komputerowe. W końcu nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że liczy sobie zaledwie 13 lat. Jego nauczyciele nazywają go cudownym dzieckiem. Inteligencja chłopca przekracza o 60 pkt granicę, którą na specjalnej skali wyznaczono dla geniuszów.

NAGRODA ZA DOBRE SERCE

Antykwarium londyński, John Bourne zapisał w testamencie swoim sąsiadom, małżeństwu Dorocie i Georgowi Dennisom 750 tys. funtów, a więc wielki majątek. Małżeństwo serdecznie i bezinteresownie opiekowało się starszym panem przez wiele lat. Zalatwiała mu wszystkie sprawy, gotowała i sprzątała w domu. Spadek był dla Dennisów całkowitym zaskoczeniem.



Gabriel Laub

INDYWIDUALYZM

Nie ma w dzisiejszych czasach wspanialszego celu życiowego, niż być indywidualistą. Wzięło się to stąd, że tak pięknie żyjemy sobie na kupy.

Ludzkosc ma odwieczną, niepokornioną, nieodpartą, instynktowną, społecznie uzasadnioną, zrozumiałą i jednocześnie niezrozumiałą skłonność do grupowania się. Wówczas, gdy cały świat nie był jeszcze zaludniony, a tylko tu i tam biegały hordy owłosionych nągusów, owi chłopcy i dziewczęta o niskich czołach zbierali się w grupy i osiedlali się — musowo — całą gromadą, gdzieś w zakolu rzeki, aczkolwiek każdy mógł zająć dla siebie choćby i tysiąc kilometrów kwadratowych. Mimo że już wówczas logika nie należała do najmniejszych stron ludzkości — ba, nawet samo pojęcie logiki musiało jeszcze poczekać na swoje odkrycie ładnych parę tysięcy — uzasadniali to zupełnie logicznie koniecznością współpracy i wzajemnej pomocy. Mieli rację, ponieważ w owych prymitywnych czasach jeden człowiek sam nie dokonałby niczego, a w gromadzie mógł porwać się choćby i na mamuta.

Nasi długoroce były może przeuczuli także inne zalety kolektywu: można się w nim wzajemnie obserwować, dbać o to, aby nikt nie polował mniej i nie żył lepiej od reszty; dzięki zgromadzeniu większej ilości jednostek zawsze był pod ręką ktoś, z kim można się pobić albo kogo można w razie konieczności pożreć. Szeptytym owej tendencji do koncentracji są w dwudziestym wieku wielkie miasta i obozy koncentracyjne.

Koncentracja ludzkości miała ogromnie pozytywny wpływ na jej rozwój. Umożliwiła współ-

pracę, a co za tym idzie realizację coraz to wspanialszych projektów. Występowało to już w epoce niewolnictwa: przeciw bez zgrumadzenia niezliczonych armii posłusznych jednostek nie byłaby możliwa budowa piramid i wielkich systemów nawadniających. Jednostka nigdy nie wybudowała statku, zdolnego pokonać niezmiernie przestrzenie oceanów, nie mogłaby zastąpić armii, będącej w stanie zagarnąć terytorium obcego państwa, realizować lotów w kosmos, ba, nie zdołałaby nawet zorganizować przemysłowej produkcji kałesonów.

W naszych cywilizowanych warunkach jednostka może dokonać bez porównania mniej niż w czasach, kiedy chadzało się na niedźwiedzia jaskiniowego z kamianą siekierą w dłoni. Nie mówiąc o tym, że bieganie po lesie z bombą atomową i szukanie jakiegoś samotnego bliźniego, w którego można by ją cisnąć, byłoby działaniem sprzecznym z rachunkiem ekonomicznym i w ogóle wszelkimi zasadami nowoczesnego społeczeństwa.

Zgrupowanie ludzi w wielkie zespoły miało niezmiernie pozytywny wpływ również na ich rozwój moralny, duchowy. Nie sposób wliczyć wszystkich zalet owego rozwoju. Zadowolony się dwoma przykładami: zasadą „bądźcieś miłował bliźniego swego”, która powstała jako wprowadzenie mało skuteczną, lecz niezbędną formuła samobrona, oraz powstaniem najwspanialszego typu ludzkiego — Człowieka Indywidualisty.

Dla człowieka żyjącego w izolacji indywidualizm nie ma żadnego sensu. Podstawowym artykułem wiary każdego indywidualisty jest to, że jest inny niż wszyscy, że kieruje się swoim własnym, nie zaś ogólnym rozumem. Samotny

myśliwy nie ma przeciw komu skierować swego indywidualizmu — ostatecznie przeciwko sobie samemu albo przeciw swej małżonce. Dotychczas jednak w dziejach ludzkości żaden indywidualista nie skierował się przeciw żonie. Wyłącznie poligamiści mogą zachować niezależność myślenia i postępowania w małżeństwie.

Zyciodajną głębią dla indywidualizmu jest więc jedynie ludzki kolektyw, a im większy i bardziej ścisły, tym lepiej. Albowiem indywidualista to człowiek, który nieustannie szuka najbliższego stada, aby mu okazać i zdemonstrować, że nie jest istotą stadną. Niekiedy co prawda wyrzwała się z wielkiego miasta do ustronnej willy — lecz jedynie wówczas, gdy na samochód, telewizor i telefon, aby mieć nieustanny kontakt z ludzkością, która pogardza. Indywidualizm przeżywany w samotności i nie wystawiony na podziwienie nie daje żadnej satysfakcji.

Prócz tego każdy indywidualista, aby utrwalił swój indywidualizm, potrzebuje przykładu, pomocy i uznania ze strony innych indywidualistów. Indywidualiści tworzą więc najróżniejsze kolektywy. Ponieważ wszyscy indywidualiści chcą zachowywać się inaczej niż pozostali, wszyscy zachowują się identycznie. I wszyscy są zadowoleni — gdyż jest to piękne uczucie, gdy widzimy, że nasza odmiennosc nie jest odmienną od odmienności innych.

Ma to jednak ten mankament, że wzory zachowania indywidualistycznego stają się zbyt znane, a nieindywidualiści mogą je łatwo naśladować, co zresztą czynią. Dzisiaj już nie sposób odróżnić, kto jest prawdziwym indywidualistą, a kto tylko udaje, wiedziony stadnym instynktem. Zaradzić to można jedynie w ten sposób, że prawdziwi indywidualiści powołają się na elitarnie organizacje, z numerowanymi legitymacjami i opieczętowanymi poświadczeniami. Wtedy wszystko będzie jasne: kto nie jest zorganizowany, nie jest indywidualistą.

Przełożył: ANTONI KROH